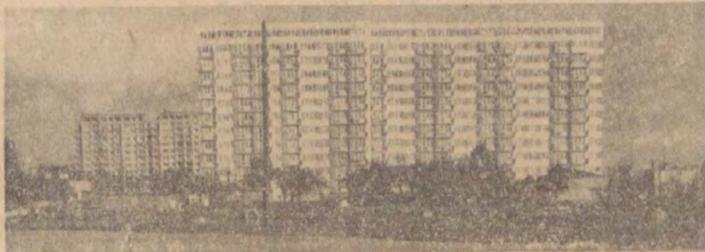



 (839)
ROK XVI 49

NOWA ŁÓDŹ
FOTOREPORTAŻ:
W. PARYSA



PERSPEKTYWA - ŁAM

NAGRODA
DLA
AUSTRALIJCZYKA

ZAMACH
SPORT • SPORT

ODGŁOSY

ŁÓDŹ, 6 GRUDNIA 1973 ROKU

TYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

CENA: 3 ZŁ.

(Nie ukrywam, że niniejsza relacja z Łęczyckich Zakładów Górniczych ma charakter okolicznościowy, że o potrzebie (tak to trzeba nazwać, ze względu na stare zobowiązania i resentymenty) napisania o łęczyckich górnikach przypomniała mi BARBURKA, dzień, który jest nie tylko świętem górniczej braci, ale całego społeczeństwa, jako że górników powszechnie cenimy i lubimy).

Kiedy inżynier WŁADYSŁAW WIESZCZEK powiada, że na Barburkę będzie obchodził 35-lecie pracy w górnictwie, wybucham śmiechem i mówię, że pewnie poszedł do kopalni prosto z przedszkola. Zawiadawca kopalni „Łęczyca” jednak nie żartuje, mówi świętą prawdę, chociaż w dowódzie osobistym ma wpisany rocznik 1930, a wygląda jeszcze młodo.

JERZY WAWRZAK

„BLIŻEJ PRZODKA...”

dziej. Tylko, że do rozwikłania tej niezbyt skomplikowanej zagadki trzeba dojść po kolei, tak, jak inż. Wieszczyk dochodził do obecnie zajmowanego stanowiska i tytułu dyrektora górnictwa II stopnia.

Polska nie należy do mocarstw surowcowych, nie mamy jak Zw. Radziecki czy USA całych tablic Mendelejewa, ale nie ma też zbytnich powodów do narzekania na matkę — naturę. Posiadamy bogate złoża węgla,

Dalszy ciąg na str. 6

ANDRZEJ MAKOWIECKI

PODRÓŻ DO WIECZNEJ BUCHARY

(KORESPONDENCJA Z UZBEKISTANU)



1.

Najpierw Moskwa, potem Alma-Ata, wreszcie Taszkient. Przyleciałem tam jako uczestnik zorganizowanej grupy turystycznej, której z ramienia „Juventuru” przewodził Edward Nowak, sekretarz łódzkiego ZSMW. Drugiego dnia pobytu w Taszkencie, działając wbrew zdrowemu rozsądkowi i przeciw własnej kieszeni, odwiedziłem w towarzystwie żony redakcję PRAWDY WASTOKA.

Dalszy ciąg na str. 4

KONRAD

FREJDLICh

Przypadek sprawił, że nie spotkał się wcześniej, bo przecież do niedawna, nie wiedząc o tym, byliśmy niemal sąsiadami. Mała chatka, którą on ironicznie nazywa willą sąsiaduje z nowymi blokami na Dąbrowie. W tej to willi przygarnięty przez teściów, kołysząc na kolanach dziecko, wtykał nos w podręczniki i skrypty przygotowując się do zajęć na studiach wieczorowych w Politechnice Łódzkiej.

I TY ZOSTANIESZ STUDENTEM

Mówi: — Na pewno żona cieszy się z mojej drogi życiowej, pracuje jako laborantka w przemyśle włókienniczym. Często myślę, że to były jakby wspólne studia, ale tylko ja dostawałem zaliczenia w indeksie,

Dalszy ciąg na str. 10

STAROŚĆ

„Podobnie jak jesień może być najpiękniejszą porą roku, tak i starość może być najlepszym okresem życia...
Bywają jednak jesienie słotne i bezowocne i starość też jałowa, bolesna, a nawet tragiczna być może.”

(Antoni Kępiński — „Rytm życia”)

1.

Spotykają się codziennie. Niektórzy przychodzą bardzo wcześnie, zanim jeszcze palacz rozpali w plecach. Inni zjawiają się dopiero tuż przed śniadaniem. Wszyscy przychodzą jednak codziennie, bez względu na pogodę i ko-

munikacyjne trudności. Chyba, że ktoś zachoruje...

Samorząd ustala wtedy, kto przyjmie opiekę nad chorym, kto doniesie obiad, załatwi zakupy, wezwie lekarza.

Przyszłam akurat w czasie, kiedy prawie wszyscy siedzieli przed telewi-

BOGDA MADEJ

zorem. „Wielki wyścig” pochłaniał ich bez reszty. Tylko w „stołowym” dwaj starsi panowie dyskutowali nad czymś zawzięcie, przedkładając własne, życiowe problemy nad szaleńczą komedię, a w „pokojach terapii zajęciowej”, choć groźnym z nazwy, ale przytulnym, jak wszystkie tu pomieszczenia, trzy panie szydełkowały kolorowe narzuty.

W DOMU DZIENNEGO POBYTU przy ulicy Narutowicza spotyka się codziennie czterdzieścioro ludzi. Do niedawna byli sobie obcy. Ale wszyscy stali wobec tego samego problemu: starości. I to ich łączyło.

„Starość jest fazą życia końcową, po niej przychodzi tylko śmierć” — napisał

Dalszy ciąg na str. 3



Fot. Archiwum



„GRANDOLOGIA”

W marcu czy kwietniu 1973 roku pisałem do „Odgłosów” po artykułach Andrzeja Makowieckiego z cyklu „Grandologia”, że w łódzkim „Grand-Hotelu” jest brudno, że bagażowi są zajęci sprzątaniem hallu, a potem nie przebiegają się i nie myją rąk, zabierają się do noszenia bagaży.

Ponownie byłem w „Grand-Hotelu” w Łodzi w listopadzie 1973 roku. I stwierdziłem, że nic się nie zmieniło. Dlaczego? Jest nadal tak, jak było, a to przecież wstyd.

J. W.

(Kalisz)

(Nazwisko i adres znane redakcji)

Nad postulatami łodzian

W powodzi problemów jakie przewijały się na przedwyborczych zebraniach z kandydatami do rad narodowych we wszystkich dzielnicach Łodzi sporo czasu poświęcano dyskusjom nad sposobami usprawnienia komunikacji miejskiej. Codzienne podróże łodzian — poranne dojazdy do pracy i powroty do domów nadal odbywają się w warunkach dalekich od doskonałości. Kursujące nieregularnie w godzinach szczytowego nasilenia ruchu tramwaje i autobusy przepełnione są do granic możliwości. Na peryferyjnych przystankach nie ma wiat, a mieszkańcy odbywają dalekie wędrówki żeby dojechać do centrum. W śródmieściu średnia prędkość spada, a w częstotliwości kursowania występują nagminne zakłócenia.

Najważniejsze zadania obsługowe komunikacji zbiorowej Łodzi w najbliższych dwóch latach będą się koncentrować w zasadzie w trzech dzielnicach: na Retkini, Teofilowie i na Dąbrowie przemysłowej. W blokach Retkini do końca bieżącej pięcioletki zamieszka ponad 53 tys. ludzi. Według obliczeń fachowców powstanie tu konieczność przewożenia około 9,3 tys. osób na godzinę. W podobnych granicach kształtować się będzie wielkość potoków pasażerskich z kierunku rozbudowującego się nadal Teofilowa, gdzie w przeciwną stronę — do zakładów przemysłowych przyjeżdżać będzie co godzina w czasie porannego szczytu blisko 13 tys. pracowników. W rejonie Dąbrowy magazynowo-przemysłowej natężenie ruchu pasażerskiego określone zostało na ok. 6 tys. osób na godzinę.

Dla usprawnienia przejazdów projektowana jest w najbliższym czasie budowa nowych tras tramwajowych, biegnących ulicami Towarową i Mickiewicza (od ul. Obr. Stalingradu do Al. Kościuszki), a na Retkini — ul. Zawodniczą (od ul. Bratysławskiej do Grabińca). W rejonie Dąbrowy przemysłowej tramwaje jeżdżące będą ul. Przybyszewskiego i Lodową (od torów PKP do ul. Dąbrowskiego). Na Chojnach inwestycje drogowe MPK skoncentrują się na odcinku ul. Rzgowskiej między ulicami Komorniki i Kurczaki.

Przyczyny istniejących trudności w eksploatacji nowoczesnego taboru tramwajowego sprowadzić można właściwie do trzech grup: konieczności zwiększenia rozstawu torowisk, przebudowy niektórych węzłów tramwajowych i pilnej potrzeby zwiększenia mocy

KOMUNIKACJA

energetycznego zasilania trasek. Oczywiście zakłócenia w płynności kursowania tramwajów wiążą się także z rosnącym stale natężeniem ruchu ulicznego i jego kolizyjnością. Spadki prędkości komunikacyjnej w śródmieściu spowodowane są zatłoczeniem jezdni, brakiem odpowiedniej sygnalizacji świetlnej na skrzyżowaniach, dużym i w zasadzie bezładnym ruchem pieszych. W Warszawie, gdzie ulice są szerokie a samochody, autobusy i tramwaje jeżdżą ze znacznie większą niż w Łodzi prędkością — mało kto z przechodniów ośmielił się zaryzykować przechodzenie jezdni w miejscu do tego nie przeznaczonym.

Najogólniej rzecz biorąc — powiedzieć można, że w najbliższych dwu latach generalnie zamierzenia poprawy warunków przewozowych na istniejących trasach i liniach komunikacyjnych Łodzi odbywać się będą poprzez zwiększenie częstotliwości kursowania. Celem nadrzędnym jest oczywiście maksymalne zaspokojenie potrzeb społeczeństwa w nowych rejonach zamieszkania i pracy. W dalszym ciągu uzupełnieniem podstawowego, tramwajowego układu komunikacji miejskiej będzie sieć tras autobusowych. Stosunkowo niewielkie zmiany w przebiegu linii autobusowych mają uwzględnić przede wszystkim potrzeby przewożone dużych i odległych osiedli mieszkaniowych oraz dzielnic przemysłowych. Autobusy skierowane zostaną tam, gdzie nie dociera jeszcze tramwaj, gdzie notowane są opóźnienia inwestycji torowych MPK i tam, gdzie obsługa ruchu pasażerskiego przez tramwaj jest niedostateczna.

Z tych właśnie względów przewiduje się w najbliższych miesiącach uruchomienie tras autobusowych w kilku dzielnicach. Na osiedlu Retkini autobusy MPK kursować będą ulicami: Maratońska, Retkińska, Krakowska, Krzemieniecka. W rejonie Dąbrowy przemysłowej pojadą ulicami: Przybyszewskiego, Lodowa, Wedmanowej, Kowalskiego. Do dzielnicy magazynowo-przemysłowej „Brzezińska” autobusy skierowane zostaną ul. Telefoniczną, a w rejonie skupiska przemysłowego „Ustronna” ulicami: Ustronna i Graniczna.

W obecnej sytuacji trudno zrobić cokolwiek więcej. Nowe osiedla nie są przystosowane do wprowadzenia takiego układu tras autobusowych, który byłby zgodny z potrzebami mieszkańców. Ciasne uliczki między blokami i brak miejsca na pętle autobusowe z ekspedycją przesądzały dziś problem jednoznacznie. Efekty wyprzedzające rzeczywiste potrzeby ludności, radykalne uzdrowienie łódzkiej komunikacji, wymaga kompleksowych inwestycji. Działać trzeba rozsądnie. Przeciwnie górnicy w taki sposób, żeby nie tracić niepotrzebnie czasu.

JERZY GAŁĘBA

Mazew w „Odgłosach”

29.XI.1973 w redakcji odbyło się spotkanie z delegacją wsi MAZEW. Przedmiotem dyskusji był reportaż R. Binkowskiego pt. „Pochówek dla halaburdy”, sygnalizujący niepokojące społecznie zjawiska, mające miejsce w tamtejszej wsi. W toku dyskusji omówiono wiele problemów dotyczących mieszkańców Mazewa i Daszyny, przedstawiając stanowiska obu stron.

Do omawianych spraw powrócimy w pierwszej połowie stycznia.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji) MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKO-SZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

NOTY I OPINIE

KAMPANIA WYBORCZA do rad narodowych weszła w najważniejszy etap. Rozpoczęły się spotkania kandydatów z wyborcami. Odbywają się one w atmosferze twórczych dyskusji. W spotkaniach tych uczestniczą też przedstawiciele władz wykonawczych rad narodowych: urzędów gminnych, prezydium rad narodowych, co pozwala na natychmiastowe ustosunkowywanie się do wielu zgłaszanych postulatów i propozycji. Niektóre z nich są zatwierdzone „od ręki”, pozostałe skrupulatnie notowane, aby móc z nich skorzystać w późniejszym czasie.

Na wielu zebraniach kandydatów na radnych i wyborcy zastanawiają się wspólnie, jak lepiej wykorzystać posiadane możliwości, jak utrzymać tempo rozwoju społecznego i gospodarczego, aby wykonać przyjęty przez partię program rozwoju całego kraju. W dyskusjach pada też wiele uwag krytycznych

KONKURS NA WSPOMNIENIA ROBOTNIKÓW

Z okazji przypadającej w roku 1974 — 30 rocznicy powstania Polski Ludowej — Wojewódzka Rada Związków Zawodowych, Wydział Kultury Prezydium WRN, Wydawnictwo Łódzkie, ZLP Oddział Łódzki, „Głos Robotniczy” ogłaszają konkurs otwarty na wspomnienia (lub pamiętniki) dotyczące życia robotników w okresie od 1945 r. do lat pięćdziesiątych.

Organizatorzy nie określają ścisłych ram tematycznych. Prace mogą dotyczyć różnych dziedzin życia. Zasadniczym warunkiem wspomnień (pamiętników) winno być życie robotników, sytuacja rodziny w pierwszych miesiącach i latach po wojnie, w okresie utrwalania władzy ludowej oraz planu 6-letniego: jak rysowały się w tym okresie perspektywy awansu osobistego, lub dzieci, na czym on polegał, czy wiązał się ze zmianą warunków pracy, nauką, udziałem w życiu społecznym i politycznym.

W konkursie mogą brać udział wszyscy, bez względu na pełnione funkcje lub miejsce zamieszkania, którzy w latach objętych konkursem pracowali jako robotnicy w województwie łódzkim. Objętość prac powinna wynosić około 15-30 stron maszynopisu.

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 15.II.1974 r. Prace nie zgłaszane dotąd w żadnych konkursach należy nadsyłać na adres: Wydział Kultury Prezydium WRN, Łódź, Ogrodowa 15 (z dopiskiem: Konkurs na wspomnienia robotników).

Prace mogą być podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu oraz mogą być opatrzone godłem. W takim przypadku nazwisko i adres autora winny być umieszczone w zaklejonej kopercie, opatrzonej tym samym godłem.

Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w maju 1974 r.

Ustalono następujące nagrody: Pierwsza — 3.500 zł, dwie drugie po 3.000 zł, dwie trzecie po 2.000 zł, cztery wyróżnienia po 1.000 zł oraz nagrody książkowe. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego podziału nagród. Sąd konkursowy ma także prawo nie przyznać niektórych nagród.

Wydawnictwo Łódzkie zastrzega sobie prawo wyboru do druku i pierwszeństwa druku nadanych prac. To samo zastrzeżenie dotyczy prac nie nagrodzonych.

„WIADOMOŚCI PRODUKCYJNE”

Ukazało się już 26 numerów 2-tygodnika „WIADOMOŚCI PRODUKCYJNE” — czasopisma technicznego Stowarzyszenia Włókienników Polskich, przeznaczanego dla mistrzów i wykwalifikowanych robotników przemysłu lekkiego. Pismo ukazuje się w Łodzi i kierowane jest przez Bogusława Sikorę — redaktora naczelnego i Karola Badziaka — zastępcę, wicelietelnego pracownika „Dziennika Łódzkiego” i „Odgłosów”.

„Wiadomości Produkcyjne” — ukazują się już drugi rok, a 26

pod adresem wielu instytucji i przedsiębiorstw, wtykających im złą pracę.

WIERSZÓW należy do najbardziej rozwiniętych miast województwa łódzkiego, a w ubiegłym roku zdobył tytuł wicemistrza gospodarności w kraju i tytuł mistrza gospodarności w województwie. Zaszczyty te jednak nie zwalniają od kłopotów. W przyszłym roku ma tu ruszyć filia „Sztuki Sieradzkiej”, gdzie znajdzie pracę około 240 osób, w większości kobiet. Jakże będą dalsze, przemysłowe inwestycje Wierszowa? Nad tym dopiero trwają rozważania. A z Wierszowa codziennie jeżdżą do pracy w przedsiębiorstwach województwa katowickiego, wrocławskiego i opolskiego przeszło 1600 osób.

Do tej pory zbudowano w Wierszowie 220 mieszkań. W budowie są dwa bloki spółdzielcze i jeden z funduszu rady narodowej. Taki sam blok rada narodowa zamierza wybudować w przyszłym roku. Natomiast Spółdzielnia Mieszaniowa w Wierszowie ma w planie wybudowanie 500 mieszkań. Ale bez rozwoju budownictwa indywidualnego nie można będzie pokonać mieszkaniowych kłopotów Wierszowa.

W OPOLU działa nieoficjalny organ, nie posiadający żadnych uprawnień, sankcji, ani mocy prawnej, ani nawet pieczęci. A mimo to funkcjonujący. Jest nim **RADA DYREKTORÓW**. Jej zadanie: pomagać władzom miasta w rozwiązywaniu bieżących kłopotów. Podstawą działania: dobra wola i dobre rozumiany interes miasta. Każdy z dyrektorów występuje w radzie jako przedstawiciel danego przedsiębiorstwa, a jednocześnie i przede wszystkim jako **obywatel Opola**. O wnioskach i zobowiązaniach powiadamia się przewodniczącego Prezydium MRN w Opolu.

Okazuje się, że można pomagać miastu bez pisemnych zobowiązań, podań, nacisków, ani też bez uroczystej podpisywanych umów, które zaraz odkładają się do szafy na bardzo ważne akta. Można, ale — jak z tego wynika — tylko w Opolu.

DOROBEK PROFESOR DR STEFANI SKWARCZYŃSKIEJ w postaci prac naukowych, z kalendarium, prac naukowych i dydaktycznej, z nagrodami, dyplomami i wysokimi odznaczeniami państwowymi zgromadzone i pokazano w Bibliotece Uniwersyteckiej w Łodzi. Przypo-

mniamy, że uczona otrzymała dyplom i medal Światowej Rady Pokoju, nagrodę naukową miasta Łodzi oraz jest odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

JUŻ DZIESIĘĆ LAT TRWA WSPÓLPRACA województwa łódzkiego ze Smoleńszczyzną. Ostatnio gościła w województwie łódzkim delegacja radzieckich przyjaciół ze Smoleńska.

„**ORBIS**” zbuduje hotel w Łodzi. Będzie to jeden z pięciu hoteli, jakie mają powstać dla „Orbisu” w najbliższym czasie. Hotele takie mają powstać w Warszawie, Łodzi, Gdyni, Sosnowcu i Świnoujściu. W Warszawie i Łodzi będą to hotele z 600 miejscami, pozostałe trzy — z 400. Należą one będą do pierwszej kategorii.

Podobny hotel — „Polonez” — powstaje w Poznaniu. Cykl budowy takiego hotelu, wznieszonego z wielkiej płyty — wynosi 21 miesięcy.

„**ODGŁOSY**” ZAPROSZONO: — na sesję popularno-naukową „Hitlerowski aparat terroru na pograniczu rejencji łódzkiej, opolskiej, katowickiej i poznańskiej w latach 1939—1945”, zorganizowaną przez Delegaturę Powiatową w Wieluniu Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi oraz Okręgowego KBZH w Katowicach, Opolu i Poznaniu.

— na konferencję prasową zorganizowaną przez Społeczny Komitet Walki z Gruźlicą i Chorobami Płuc, a związaną z **DNIA MI WALKI Z GRUŻLICĄ I CHOROBIAMI PŁUC**, jakie odbywają się między 1 a 10 grudnia br.

— na **ZŁOT MŁODYCH SPÓŁDZIELCÓW ZIEMI ŁÓDZKIEJ** do Piotrkowa Trybunalskiego, który to Złoty zorganizowali: Zarząd Wojewódzki ZMS, Zarząd Okręgu ZZ Pracowników Spółdzielczości Pracy w Łodzi, Wojewódzki Związek Spółdzielczości Pracy, Okręgowy Związek Spółdzielczości Inwalidów i Krajowy Związek Spółdzielczości Dzielarsko-Włókienniczej.

— na VIII Zjazd Społecznych Opiekunów Zabytków m. Łodzi, który zorganizował Zarząd Łódzkiego Oddziału PTTK.

— na Wystawę Fotografiki **ŁÓDZKIEGO TOWARZYSTWA FOTOGRAFICZNEGO**.

— na Wieczór Poezji Maksima Tanka do Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

— na Uczelnianą Konferencję Programowo-Wyborczą Socjalistycznego Związku Studentów Polskich przy Uniwersytecie Łódzkim.

Białoruski KOLBERG

W Mińsku ukazała się obszerna praca Jana Solomienicza poświęcona jednemu z najbardziej oryginalnych folklorystów w nauce polskiej, Michałowi Federowskiemu (1853—1923), którego Jarosław Iwaszkiewicz nazwał białoruskim Kolbergiem.

Kaszub z pochodzenia, urodzony w Warszawie, 27 lat spędził na Białorusi, poświęcając się całkowicie badaniom duchowej i materialnej twórczości ludu białoruskiego.

Owoce swojej pracy ogłosił drukiem w serii rozpraw etnograficznych oraz w imponującym dziele pt. „Lud białoruski”, którego trzy pierwsze tomy ukazały się w Polsce w latach 1897—1903, czwarty w roku 1935,

zaś piąty i szósty w latach 1938—1960.

Zainteresowania folklorem o-budziły się u Federowskiego dość wcześnie, ale dopiero wyjazd na Polesie zwrócił jego uwagę na mało znany spolecznostwu polskiemu folklor białoruski, który urzekł go bogactwem pieśni, podań i obrzędów.

Materiały Federowskiego, mające podstawowe znaczenie dla etnografii białoruskiej są zarazem cenną pozycją w folklorystyce polskiej, ponieważ zawierają warianty polskie. Federowski interesował się również życiem codziennym Białorusinów, ich językiem, historią, przeszłością. W latach 1877—1904 zebrał około tysiąc eksponatów etnograficznych, 11 tysięcy archeologicznych, półtora tysiąca melodii, dwa tysiące podań, klechd i bajek, przeszło 6 tysięcy pieśni ludowych oraz około 28 tysięcy zapisów paremiograficznych-przysłów, zagadek, żartów,

GOŚCIE Z ZAGRZEBIA

Najlepsza orkiestra jugosłowiańska — filharmonia z Zagrzebia, wystąpiła w Łodzi z jedy-nym koncertem w dniu 19. XI. 73 r. Świetny zespół w całej rozciągłości potwierdził swą międzynarodową sławę, ugruntowaną w ciągu 18 lat na występach we wszystkich niemal krajach Europy. Miarą wysokiej klasy tej orkiestry jest nieprzeciętna kultura brzmienia całego zespołu, przede wszystkim jednak niezwykle szlachetna, miękka barwa kwintetu smyczkowego, któremu tylko niewiele ustępują czyste grające i bardzo wyrównane „drzewo” oraz pełna blasku „blacha”.

W symfonii D-dur Luca Sarcovicia, kompozytora zupełnie u nas nieznanego, jest dziełem mistrzowskim, napisanym uniwersalnym językiem wczesnego klasycyzmu. W wykonaniu tego utworu zachwyliły zwłaszcza smyczki. Iskrujące się haydnowskim dźwiękiem Allegro, zadumane Poco andante z pięknym prowadzonym tematem przez różne grupy instrumentów, wreszcie Tempo giusto imponujące perfekcją wykonania ozdobi-końców.

Poemat symfoniczny „Don Juan” Ryszarda Straussa grany z wielką żarliwością, bardzo dojrzałe, ukazujące pięknością niektórych epizodów (świetne solo waliorni) pozostawił jednak wrażenie pewnego niedosytu. W interpretacji zabrakło chyba większego ładunku emocji i napięcia. Za to momenty liryczne grane były w sposób niezrównany.

Patos i duża ekspresja charakterystyczne natomiast wykonanie I symfonii e-moll Jana Brahmsa, którą muzycy chorwaccy grali porównując. Koncept interpretacyjną dyrygenta nazwałbym klasycyzującą. Klasyczny umiar cechował zwłaszcza część I. Część II wydała mi się za szybka, zwłaszcza w dialogu skrzypiec solowych i rogu. Cudowna — najlepiej grana była pastorałka część III, znakomita — część IV. Plastycznie wydobyte tematy w smyczkach, rogach i flecie, piękny chorał puzonów ze świetnie brzmącym kontrapunktem — oto tylko niektóre fragmenty wyodrębnione z jednolitej wrażliwości całości. Mladen Basie okazał się nie tylko artystą o wnikliwej muzykalności, lecz także świetnym reżyserem dźwięku, znakomicie rozkładającym efekty, logicznie prowadzącym dzieło od posępnego wstępu do majestatycznej finałowej kulminacji.

Przyjęcie owocne. Goście pozostali się jednak od obfitych, którym poprzedniego dnia oddali warszawian. A może obrazili się na publiczność łódzką, która tak niechętnie przybyła na koncert. Pozostawiam to na razie bez komentarza.

ZYGMUNT GZELA

toastów, powinszowań i zwrotów frazeologicznych.

Praca Jana Solomienicza jest pierwszą obszerną biografiją znakomitego badacza-etnografa, wydaną w postaci oddzielnej monografii. Cechuje ją znajomość przedmiotu, erudycja, dojrzałość ocen i sądów, rzetelnie udokumentowanych, sugestywność argumentacji opartej na badaniach rękopiśmnych i źródeł przechowywanych w polskich i białoruskich archiwach.

Autor sugeruje, że współczesni badacze białoruscy powinni podjąć szczegółowe badania nad działalnością Federowskiego w zakresie językoznawczym, historycznym, archeologicznym. Bogate słownictwo zebrane przez Federowskiego powinno też zainteresować białoruskich leksykografów.

MŚCISŁAW OLECHNOWICZ

minister Tadeusz Kunicki. — Szybkie i sprawne wdrażanie, a następnie szerokie rozpowszechnianie osiągnięć technicznych naszych placówek naukowo-badawczych, wynalazców i racjonalizatorów — to najtańsze źródło postępu i nowoczesności”.

W tym samym numerze „WIADOMOŚCI PRODUKCYJNE” publikują rozmowę Karola Badziaka z wiceministrem przemysłu lekkiego — dr inż. WŁADYSŁAWEM JABŁOŃSKIM.

— Czy Tow. Minister czyta „Wiadomości Produkcyjne”? — pyta na zakończenie rozmowy Karol Badziak.

— Czytam — odpowiada W. Jabłoński — uważam je za pismo dobre, pozytywne, potrzebne”.

Na następnych stronach „Wiadomości Produkcyjnych” spotkanie z wynalazcami i ra-

cjonalizatorami z przemysłu lekkiego: **ELŻBIETA PARADOWSKA** z wrocławskiego „Weltexu”, **IZYDOREM KLIMCZAKIEM** z BZP im. II Armii Wojska Polskiego w Bielowie, **TOMASZEM MUSIAŁEM**, **LEONEM PAWLAKIEM** i **IRENEUSZEM RADKE** z „DAMINY” oraz **HELENA FEJCAK** i **DANUTA HEZLER** z „Cory”.

„Wiadomości Produkcyjne” systematycznie publikują w stałej rubryce „Głędła pomysłów” propozycje różnych usprawnień i udoskonaleń. Numer 22 (26) przynosi ich znaczenie zwiększoną porcję, wraz z rysunkami technicznymi i krótkimi opisami. A ponadto artykuły o informatyce, Jestiennych Targach w Poznaniu, Zakładach Przemysłu Lniarskiego „Hakon” w Hrubieszowie oraz felietony, rysunki satyryczne, rozrywki umysłowe i ogłoszenia.

Jedną z najbardziej znamienitych cech naszych czasów jest burzliwy rozwój nauki i techniki oraz nie spotykane uprzednio tempo wprowadzania osiągnięć naukowych i technicznych do gospodarczej działalności człowieka. Powoduje to nie tylko szybkie starzenie się stosowanych rozwiązań technicznych, ale wywołuje także zmiany w stosunkach społecznych i szybkie starzenie się wielu regulatorów tych stosunków i ich form prawnych. Zachodzi wówczas konieczność przystosowywania tych form do nowych potrzeb.

Procesowi temu podlegają także rady narodowe. Są one jedną z podstawowych form urzędowania ludowładztwa w naszym kraju. Jest to przeto forma bardzo wrażliwa na wszelkie zmiany zachodzące w stosunkach politycznych, gospodarczych a także oświatowo-kulturalnych. Rozwój zaś tych stosunków wymaga coraz pełniejszego urzędowania demokracji socjalistycznej i stwarza też coraz lepsze warunki dla tego procesu.

To tłumaczy przeprowadzenie szeregu reform systemu rad narodowych, poczynając od 1950 r. Każda z nich miała na celu coraz większe przybliżenie rad do ich ideału. Reforma, którą obecnie przeżywamy,

Rady narodowe w tych państwach, inaczej niż w Jugosławii, nie straciły przymiotu organów państwowych, lecz zyskały dodatkową cechę organów samorządu społecznego. Mają zatem dwoisty charakter. Byłoby jednak błędem dopatrywanie się jakiegokolwiek sprzeczności między tymi charakterami za wzorem sprzeczności istniejących często między samorządem terytorialnym i administracją rządową w państwach kapitalistycznych. Tam administracja rządowa strzeże przede wszystkim interesów wielkiej burżuazji jako klasy panującej, zabiega o utrwalenie stosunków społecznych i prawnych, które najlepiej tym interesom odpowiadają. Samorząd terytorialny natomiast z natury swojej jest bliższy szarego człowieka i podatniejszy na jego bezpośredni wpływ. Wprawdzie burżuazja i tę formę stara się wygrać dla siebie i podporządkować ją swoim interesom, a przynajmniej ją zneutralizować, nie zawsze jednak jej się to udaje. Bardzo często, a współcześnie coraz częściej, samorząd terytorialny znajduje się w rękach mas pracujących i jest przez nie wykorzystywany na rzecz postępowego, rozwoju stosunków społecznych. Towarzyszą temu starcia z administracją rządową, która ma jed-

funkcjonowanie wszystkich innych państwowych instytucji w terenie, ale powoduje też konieczność poddania ich działalności nadzorowi rad wyższego stopnia, a także innych organów państwowych. Organy państwowe zawsze bowiem tworzą pewien system, w którym istnieją powiązania wyrażające się w określonej zależności jednego organu od drugiego.

Samorządowy charakter rad oznacza natomiast ich powiązanie ze społeczeństwem i zależność od społeczeństwa oraz przesądza o demokratycznych formach i metodach działania.

Wypuklenie samorządowego charakteru rad służy zatem dwóm tendencjom wynikającym z jego istoty. Pierwsza z nich — to zwiększanie reprezentatywności rad, druga — to umacnianie samodzielności w rozwiązywaniu spraw lokalnych.

Zwiększenie reprezentatywności rad wymaga ciągłego doskonalenia systemu wyborczego tak, aby zapewnić na powołanie do rad autentycznych przedstawicieli wyborców, cieszących się ich zaufaniem, znających ich potrzeby oraz wykorzystujących wszystkie możliwości, jakie daje mandat radnego, do działania na rzecz mieszkańców. Zasada ta

dotyczy prezydentów lub naczelniczy miast, naczelniczy dzielnic, naczelniczy powiatów, w gminach zaś jak dotychczas — naczelniczy gmin.

Mają one także podwójny charakter: są organami administracji państwowej oraz organami wykonawczymi i zarządzającymi swoich rad narodowych.

W zakresie tej drugiej roli istnieje pełne podporządkowanie tych organów radom narodowym. Pierwsza zaś rola wymaga silniejszego powiązania ich z odpowiednimi organami administracyjnymi wyższego stopnia. Nie może to jednak oznaczać uniezależnienia się ich w tym zakresie od rad narodowych. Generalnie rzecz biorąc, wszelkie wątpliwości usuwa fakt, że rady narodowe są nie tylko organami samorządu społecznego, ale także a w świetle prawa nawet przede wszystkim organami władzy państwowej. Działają one najbardziej podstawową zasadą struktury naszego państwa, że organy władzy zajmują nadrzędną pozycję wobec wszystkich innych organów państwowych.

Zasada ta znajduje potwierdzenie w przepisach określających kompetencje rad. Już wyliczone wyżej kompetencje wskazują, że akty rad narodowych będą miały dla wojewodów, prezydentów i naczelniczy zasadnicze znaczenie.

Ponadto ustawa stanowi, że nawet sprawując administrację państwową (a nie tylko funkcję wykonawczą wobec rady), działają oni zgodnie z przepisami prawa i kierunkami ustalonymi przez rady narodowe oraz składają tym radom sprawozdania ze swojej działalności. Kontrola rad nad działalnością administracji państwowej nie będzie się ograniczała do wysłuchiwanie sprawozdań. Ustawa przynajmniej komisjom rady prawo sprawowania bezpośredniej kontroli nad działalnością tych organów.

WPLYW NA INSTYTUCJE SPOZA SYSTEMU RAD

Dotychczas nazywano je nie podporządkowanymi radom, obejmując tym mianem wyspecjalizowane organy administracji państwowej, np. sztaby wojskowe, urzędy górnicze itd., oraz przedsiębiorstwa przemysłu kluczowego. Reforma sprawiła, że to określenie „jednostki nie podporządkowane” stało się już nieadekwatne, gdyż rada narodowa i jej organy zyskują szereg uprawnień władczych wobec tych jednostek.

Przed wszystkim widać to w koncepcji uchwalonego przez radę planu społeczno-gospodarczego rozwoju swojego terenu. Ma on obejmować całokształt problematyki istotnej dla danego terenu, a więc wszystkie zadania, realizowane zarówno przez aparat rady jak i jednostki spoza tego aparatu.

Nie przesądza to wprowadzenie wszystkich kwestii związanych z ustaleniem tych zadań, gdyż zawsze wchodzi w grę środki niezbędne na ich realizację, a to z reguły jest sprawą skomplikowaną, to jednak nie powinno być wątpliwością, że prawo uchwalania przez radę narodową takiego planu zapewni jej ogromny wpływ na tę część działalności tych wszystkich instytucji, która ma znaczenie dla gospodarczego i społeczno-kulturalnego rozwoju terenu.

Plan ten staje się głównym instrumentem koordynacji działalności wszystkich zainteresowanych instytucji państwowych i społecznych. Sprawa on nie tylko ustalenie zadań, ale stanowi także podstawę do dalszego permanentnego oddziaływania na wszystkich zobowiązanych w stadium realizacji tych zadań. A to oznacza prawo kontroli ich działalności i inspiracji wskazującej dodatkowe możliwości pełniejszego zaspokojenia potrzeb mieszkańców.

ZESPOLENIE RAD Z INNYMI FORMAMI SAMORZĄDU

Jak wiadomo, istnieje w naszym kraju szereg form samorządu, przede wszystkim samorząd robotniczy i spółdzielczy oraz samorząd mieszkańców, którego organami są komitety osiedlowe, obwodowe, i domowe, na wsi zaś zebrane wiejskie.

Omawiana reforma zmierza do pogłębienia samorządności mieszkańców, powiększa więc rolę organów tego samorządu. Mocniej też niż dotychczas zespoli ten samorząd z radami naro-

dowymi, które — jak to już podkreślaliśmy — mają w sobie też ten sam charakter organów samorządowych. Rady wspólnie z komitetami Frontu Jedności Narodu sprawują ogólny nadzór nad samorządem mieszkańców i udzielają mu wszelkiej pomocy.

Uwypuklenie samorządowego charakteru rad oraz nowa ich pozycja w systemie naszego państwa powinna spowodować dalsze zbliżenie do rad samorządu robotniczego i spółdzielczego. Przede wszystkim samorząd robotniczy z natury swojej powinien być sprzymierzeńcem rady w staraniach o podjęcie i wykonanie zadania na rzecz ludności przez przedsiębiorstwa przemysłu kluczowego.

ORGANIZACYJNE ZABEZPIECZENIE POZYCJI RADY

Dotychczasowa struktura wewnętrzna rady była bardzo uboga. Nie miała ona nawet swego przewodniczącego, przewodnictwo zaś na sesjach było powierzane przewodniczącym obrad, wybieranym na każdą sesję lub na okres dłuższy. Nie miała też specjalnego organu, który zajmowałby się organizowaniem jej pracy. Funkcją ta należała do prezydium, które, będąc przede wszystkim organem administracyjnym i wykonawczo-zarządzającym rady, traktowało ją jako dodatek do swoich zadań podstawowych. Ta słabość organizacyjna rady przyczyniła się niewątpliwie do faktycznej przewagi nad nią jej organu wykonawczo-zarządzającego.

Obecna reforma słabość tę usuwa. Rada będzie wybierała swego przewodniczącego i jego zastępców, będzie miała swoje własne, wyłącznie sobie podporządkowane prezydium, powołane tylko do organizowania jej działalności i reprezentowania na zewnątrz. Zatem będzie ono, m.in. przygotowywało i zwoływało sesje, organizowało działalność komisji oraz koordynowało ich pracę, udzielało radnym pomocy w wykonywaniu mandatu i czuwało nad zabezpieczeniem praw radnych. Nowe prezydium, inaczej niż dotychczasowe, nie będzie uwikłane w bieżącą działalność administracyjną, co powinno wpłynąć dodatnio przede wszystkim na wypełnianie przez radę i komisje funkcji inspirującej i kontrolnej wobec całej administracji.

W skład prezydium obok przewodniczącego rady i jego zastępców wejdą przewodniczący stałych komisji rady, będzie to więc organ w pełni kompetentny do wykonywania powierzonych mu zadań.

Na b. mocne podkreślenie zasługują starania o to, aby ta nowa pozycja rady była zabezpieczona nie tylko formalnie, ale i faktycznie. Jak wiadomo, i Krajowa Konferencja PZPR postanowiła, że na przewodniczących rad będą rekomendowani pierwsi sekretarze odpowiedzialni komitetów PZPR, na zastępców zaś kierownicy analogicznych instancji pozostałych partii politycznych, oczywiście wybrani uprzednio na radnych. Taki skład osobowy prezydium powinien mu zapewnić rzeczywistą wysoką rangę i skuteczność oddziaływania rady na wszystkie terenowe instytucje państwowe i społeczne. Z dotychczasowej praktyki wiadomo, że w razie nieskuteczności zabiegów koordynacyjnych podejmowanych przez radę narodową lub jej organy, sięgano po oddziaływanie i sekretarza odpowiedzialnego komitetu PZPR i z reguły uzyskiwano pożądany skutek.

Niemalże znaczenie dla pozycji rady może też mieć wyposażenie radnych w dodatkowe uprawnienia i środki działania, które świetnie harmonizują z tą nową jej pozycją. Mianowicie każdy radny będzie mógł samodzielnie zwracać się do kierowników organów państwowych, zakładów, przedsiębiorstw i innych instytucji o rozpatrzenie spraw, wynikających w toku jego działalności związanej z wykonywaniem mandatu. Np. będzie mógł domagać się zbadania i wyjaśnienia spraw podnoszonych na spotkaniach z wyborcami. Jest to środek niezależny od stosowanych dotychczas, np. wniosków wysuwanych przez komisje rady.

Wyposażenie radnych w to dodatkowe uprawnienie powinno poważnie wzmocnić ich oddziaływanie na cały terenowy aparat państwowy i społeczny.

Nowa pozycja Rady Narodowej

doc. dr hab. EUGENIUSZ SMOKTUNOWICZ

posiada swoje znamienne cechy nie tylko w treści, ale także w sposobie jej przeprowadzenia. Została ona mianowicie podzielona na dwa etapy. Pierwszy etap miał charakter eksperymentalny i służył do sprawdzenia w praktyce na mniejszym obszarze wypracowanej koncepcji przed jej upowszechnieniem. Było to powołanie z dniem 1 stycznia br. gmin i wprowadzenie zmian w pozycji i strukturze gminnych rad narodowych i ich organów.

Analiza funkcjonowania tych rad i ich organów dostarczyła podstaw do przeprowadzenia obecnie drugiego etapu reformy, obejmującego pozostałe rady narodowe. Takie postępowanie świadczy o wielkiej rozwadze organizatorów reformy i pozwala trafniej przewidywać jej następstwa.

DWOISTY CHARAKTER RADY

Jest to początek dla zmiany pozycji rady. Dotychczas zarówno Konstytucja jak i ustawy zwykłe, jeśli pominąć ustawę o gminach, gdyż ta wchodzi w skład obecnej reformy, traktowały rady narodowe wyłącznie jako organy władzy państwowej. Obecnie natomiast wszystkie rady narodowe, od gminnych po wojewódzkie, zostały uznane za organy władzy państwowej i zarazem podstawowe organy samorządu społecznego.

Jakie znaczenie ma ta zmiana oraz jakie konsekwencje wywoła ona w praktyce?

Zanim spróbujemy odpowiedzieć na to pytanie, przypomnijmy, że zmiana ta jest przejawem ogólniejszej tendencji, która daje o sobie znać w większości państw socjalistycznych. Wyzwolił ją, jeżeli pominąć Jugosławie, XXII Zjazd KPZR w 1961 r. Sformułował on dla rozwiniętego państwa socjalistycznego ideę przekształcenia organów państwowych w organy samorządu społecznego. Ideę tę podjęły i zaczęły wcielić w życie niektóre państwa socjalistyczne, jak Bułgaria, Czechosłowacja, Węgry, a obecnie także Polska.

nakże zapewnioną w nich przewagę zarówno prawną jak i faktyczną, wszędzie bowiem w państwach kapitalistycznych samorząd terytorialny, poddany jest nadzorowi administracji rządowej.

W państwie socjalistycznym nie ma tego rodzaju sprzeczności. Cała władza państwowa spoczywa tu w rękach ludu pracującego. W następstwie zaś zachodzących przeobrażeń społecznych lud pracujący staje się synonimem całego społeczeństwa lub całego narodu. Nie ma tu miejsca na przeciwstawianie sobie interesów klasowych, gdyż nie ma między nimi sprzeczności. Nie ma też miejsca na przeciwstawianie samorządu społecznego organom centralnej administracji państwowej, sprawuje ona bowiem funkcje powierzone jej przez samorząd całego narodu, którego najwyższym wyrazicielem jest Sejm.

Cóż zatem kryje się w tym dwoistym charakterze rad narodowych? Dlaczego obecnie uwypukla się charakter samorządowy?

Przede wszystkim trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że analizowana reforma nie zmienia istoty rad. Rada była zawsze przedstawicielstwem ludności. Dotychczasowe przepisy ograniczały się wprawdzie do uznania rad za organy władzy państwowej, co jednak nie oznaczało, że nie były one jednocześnie szczególnego rodzaju organizacją społeczną. Każda zaś organizacja społeczna oparta jest na samorządności.

Obecna reforma, określając rady mianem samorządu społecznego, akcentuje, a przez to podnosi znaczenie tej strony charakteru rad, która dotychczas znajdowała się niejako w cieniu. Wskazuje to kierunek przeobrażeń rad, który wyrażają dwie tendencje wynikające z istoty samorządu: pierwsza — to zwiększenie ich reprezentatywności, druga — to umacnianie samodzielności w rozwiązywaniu spraw lokalnych.

Można powiedzieć tak, że posiadanie przez rady narodowe charakteru organów władzy państwowej zapewnia im wysoką rangę w strukturze aparatu państwowego i wpływ na

wymaga następnie utrzymywania ściślej więzi radnego z wyborcami przez cały czas piastowania mandatu. Należałoby więc poszukiwać coraz efektywniejszych form służących temu celowi. Ustawa wprowadzająca reformę powiększa znacznie możliwości działania radnego, a więc posuwa naprzód sprawę więzi jego z wyborcami.

KOMPETENCJE RADY

Ze względu na rodzaj można rozróżnić 3 ich grupy:

- ◀ kompetencje decyzyjne
- ◀ kompetencje służące inicjowaniu działalności innych organów
- ◀ kompetencje kontrolne

Wszystkie trzy rodzaje kompetencji ulegają poważnemu rozszerzeniu i wzmocnieniu. Przede wszystkim należy podkreślić rozszerzenie kompetencji decyzyjnej jako najważniejszej. Wyraża się to w ustalaniu przez radę zasadniczych kierunków rozwoju swojego terenu oraz środków zapewniających realizację związanych z tym zadań. W szczególności rada uchwała plany społeczno-gospodarczego rozwoju swojego terenu, obejmujące nie tylko zadania realizowane przez własny aparat ale także przez jednostki jej nie podporządkowane.

Odmianą i uszczegółowieniem tych planów będą uchwalane przez rady narodowe wieloletnie programy rozwoju w ważniejszych dziedzinach działalności gospodarczej i społeczno-kulturalnej jak też programy umocnienia porządku i bezpieczeństwa publicznego oraz uprawnienia administracji i gospodarki terenowej.

Dla charakterystyki kompetencji rady może być przydatne rozróżnienie ich ze względu na podmioty, do których działalność ta może być skierowana.

NADRZĘDNOŚĆ NAD ADMINISTRACJĄ PAŃSTWOWĄ

Głównymi organami administracji państwowej w terenie będą wojewo-

przyzwyczajeniach jednoczy to jedno: pragnienie, aby być jeszcze potrzebny, ucieczka przed samotnością. I jeszcze to, że trzeba im pomóc w normalnych, codziennych sprawach, które dla innych, ludzi w pełni jeszcze sił, nie są żadnym problemem.

I nie pomyślono się, choć na początku wiele było kłopotów. Wywodził się przecież z różnych środowisk, mieli z sobą wiele własnych i tak różnych doświadczeń, przeżyć, przekonań i przyzwyczajzeń. Przeszli pod opiekę osoby młodej, która mogłaby być wnuczką każdego z nich. Na początku mówili:

— Co tam pani wie, niech przyjdzie prawdziwa kierowniczka.

Przywykli jednak do regulaminu, nauczyli się troski o własną higienę, wspólnego gospodarowania na tych 260 metrach kwadratowych, które na czas dziennego pobytu zaczęli trakto-

wać jak swoje własne mieszkanie. Przekonali się, że ta młoda osoba, jest ich prawdziwą kierowniczką, że chce im pomóc, a im to jest przecież potrzebne, że oni wszyscy razem okazali się sobie potrzebni.

Zbliżyli ich wspólne wycieczki, razem oglądany spektakl teatralny, film, wspólne słuchanie płyt, podobne codzienne kłopoty, które razem łatwiej jest przezwyciężyć. Byli już sobie potrzebni. Kiedy ktoś zachorował, spieszyli mu z pomocą.

Narodziły się sympatie i antypatie, znaleźli się powiernicy tajemnic, partnerzy do codziennej porcji plotek, rozmowy o wszystkim i niczym, do wspomnień: „bo za naszych czasów...”, „bo jak myśmy byli młodzi...”. Zaczęło się normalne życie, dążenie do tego, aby starość nie była najgorszym okresem życia. Przestali żyć w samotności w której najgorsza jest myśl o nieuchronnie zbliżającej się śmierci.

STAROŚĆ

Dalszy ciąg ze str. 1

prof. Antoni Kepiński w „Rytmie życia”. I jest to prawda bolesna, okrutna, z której wszyscy, niezależnie od wieku, zdajemy sobie sprawę. Tylko, że zaczynamy o tym myśleć po przekroczeniu bariery społecznej użyteczności, po przejściu na emeryturę, kiedy nagle człowiek znajduje się wobec nadmiaru wolnego czasu, kiedy stwierdził, że życie toczy się dalej, już bez niego.

Ale prof. Antoni Kepiński pisał też i o tym, że starość „może być najlepszym okresem życia”. Jak to osiągnąć?

Ludziom starym, samotnym, którzy nierzadko czują się niepotrzebni, trzeba przywrócić wiarę w sens istnienia. I to była myśl, która legła u podstaw DOMU DZIENNEGO POBYTU, kiedy organizowano go przy ulicy Narutowicza. Zdawano sobie sprawę, że ludzi tych, z różnych środowisk, o różnych doświadczeniach życiowych i różnych

Antoni Kepiński: „W większości społeczeństw zarówno pierwotnych, jak też o wysokim stopniu rozwoju kulturalnego, pozycja ludzi starych była wysoka. Często w ich rękach skupiała się władza, otaczano ich szacunkiem, zapewniano im środki do życia, nieraz lepsze niż młodszemu członkowi społeczeństwa. Pozycja społeczna człowieka starego dawała poczucie bezpieczeństwa.”

Ludzi starych zamyka się dziś najczęściej w domach starców.”

Starość stała się dziś problemem społecznym. Przeżyliśmy już jeden wyzł demograficzny. Młodzież z tego wyżu wkracza dziś w wiek produkcyjny. Zbliża się inny wyzł. Od paru lat stale powtarzamy, że społeczeństwo nasze starzeje się coraz gwałtowniej. Przyczyny tego są znane!

Dalszy ciąg na str. 4

KANDYDUJĄ DO RAD NARODOWYCH

BOHDAN BARANOWSKI

Prof. dr Bohdan Baranowski od 1945 r. związany jest z Uniwersytetem Łódzkim. Jest obecnie kierownikiem Zakładu Historii Polski Nowożytnej oraz dziekanem Wydziału Filozoficzno-Historycznego. Ostatnio na półkach księgarskich ukazała się jego kolejna książka, wydana przez Państwowy Instytut Wydawniczy, pt. „Życie codzienne wsi między Warcją a Pilicą w XIX wieku”. Prof. Bohdan Baranowski wiele miejsca w swojej pracy naukowej poświęca przeszłości województwa łódzkiego.

— Poza pracą naukową, przedmiotem której często są sprawy przeszłości naszego regionu — mówi prof. B. Baranowski — interesuję się szczególnie dwoma zagadnieniami: rozwojem filii UL oraz rozwojem muzealnictwa na Ziemi Łódzkiej.

Jeśli chodzi o tę pierwszą sprawę, to od niedawna działa już filia UL w Piotrkowie Trybunalskim, gdzie kształcą studenci historii i filologii. Podobną filię tworzy się również w Zgierzu, ale z innymi kierunkami. Współcześnie w szkolnictwie wyższym — przynajmniej europejskim — kształtuje się tendencja do decentralizacji i jak się okazuje daje to dobre wyniki dydaktyczne. W naszych warunkach, kiedy ciągle potrzeba specjalistów, w tym z wykształceniem humanistycznym, kierunek taki jest najwłaściwszy i trzeba będzie poświęcać wiele uwagi dla jego dalszego rozwijania. Druga sprawa — to muzealnictwo specjalistyczne. Tworzymy muzea regionalne, ale są one podobne do siebie, a tymczasem mamy warunki dla tworzenia muzeów specjalistycznych. Na przykład: w Radomsku — dla meblarstwa, w Piotrkowie — dla szklarstwa. Niewątpliwie rozwój turystyki i motoryzacji da tym — niepowtarzalnym i jedynym placówkom — wiele zwiedzających.

JAN PERZ

JANA PERZA, reżysera, dyrektora i kierownika artystycznego Teatru Ziemi Łódzkiej nie trzeba naszym Czytelnikom przedstawiać. Niedawno z okazji jego jubileuszu 25-lecia pracy artystycznej przeprowadziliśmy z nim rozmowę na łamach „Odgłosów”. Obecnie Jan Perz kandyduje do Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi z okręgu wyborczego w Głownie.

— Jeśli zostaną wybrany — mówi Jan Perz — chciałbym, na forum rady i w środowisku, w którym działam, wzmocnić zainteresowanie sprawami kultury. Jest dużo do zrobienia w tej dziedzinie w sensie praktycznym. Przytoczę tylko przykład z naszego okręgu wyborczego, gdzie miałem już spotkania z wyborcami (w Głownie, Łyżkowicach, Zdunach Kościelnych). W Łowiczu powinien np. powstać amfiteatr, folkloru łowickiego. Budowa domu kultury w Głownie to także ważny problem. Ale już w Łyżkowicach jest sytuacja odwrotna. 8 lat temu, z funduszy SPDS wybudowano tam dom kultury, ale nie się w nim nie dzieje i jego stan jest opłakany.

Sprawy najbliższe Janowi Perzowi to oczywiście teatr, którym z dużymi sukcesami od trzech lat kieruje.

Daje do tego, aby nasz teatr przywrócił się do wzrostu rangi kulturalnej regionu — mówi Jan Perz.

— Chcemy być obecni na Ziemi Łódzkiej w jak największym tego słowa znaczeniu. Chodzi więc tu nie tylko o dotarcie do widza z przedstawieniem ale i o kontakty z publicznością po spektaklu, m. in. w formie spotkań dyskusyjnych.

Bardzo zależy nam na kontakcie z młodzieżą, a w moim odczuciu ten kontakt ze szkołami, organizacjami młodzieżowymi jest za mały. I trzeba to zmieniać. Jako przyszły radny, chciałbym w radzie i jej komisjach zajmować się sprawami nie tylko teatru, ale kultury rozumianej jako całość: sztuki, inicjatyw, upowszechnienia, popularyzacji, a więc tego wszystkiego, co wpływa na rozwój kulturalny społeczeństwa.



PODRÓŻ DO WIECZNEJ BUCHARY

Dalszy ciąg ze str. 1

PRAWDA WASTOKA mieści się w centrum miasta przy ulicy o tej samej nazwie. **PRAWDA WASTOKA** to najstarsza gazeta Azji Centralnej, a jednocześnie naczelny organ Republiki. W **PRAWDZIE WASTOKA** zostaliśmy przyjęci przez Arkadiusza Zadrowskiego z Działu Propagandy i Izraela Skudowicza z Działu Ekonomicznego.

Posadzili nas, napili herbatą, poczęstowali papierosami. No i dali znak, żebyśmy zechcieli się wyszczególnić.

Wiedziałem, że moja prośba jest raczej bezcelna i nie wierzyłem, aby można było ją spełnić, a przecież — dla spokoju sumienia — wypaliłem wreszcie, o co chodzi:

— Chcemy jechać na pustynię...
— Ooo... — zdziwili się grzecznie.
— I mamy w tej sprawie redakcyjne pismo...

— Wzięli to pismo.
— Przetłumaczę na rosyjski — powiedziałem pochylając się nad stołem.

— Nie ma potrzeby — powiedział po polsku Skudowicz.

— Pan żartuje — wtrąciła Elżbieta.
— Dlaczego?
— Zna pan polski?
— Znam.

— Ale jakim cudem?
— Pracowałem kilka lat w polsko-łitewskiej gazecie **CZERWONY SZTANDAR**. Słyszeliście może?

Zadrowski intensywnie nad czymś medytował. Wiedziałem, że zaraz nas zmyje. I nie dziwiłem się temu. To było przecież logiczne... Przyjechaliśmy tu przecież jako członkowie zbiorowej wycieczki, która następnego dnia rano miała odlot do Duszanbe, stolicy Tadżykistanu. Wykazaliśmy się wprawdzie pismem, ale zamiast paszportów służbowych mieliśmy w kieszeni zwykłe turystyczne wkładki. Przedstawiłem legitymację Stowarzyszenia Dziennikarzy i Związku Literatów, ale czy mogło to zmienić fakt, że od pustyni dzieliło nas pół tysiąca kilometrów?

Postanowiłem ułatwić im jakoś odnowę. Powiedziałem:

— Wiemy, że to jest niemożliwe.
— Zaraz, zaraz — powiedział Zadrowski i sięgnął po telefon. — Wydaje mi się, że będziemy mogli wam pomóc...

I sprawa nabrała nagle niebываłe-

go tempa. Połączył się z Komitetem Centralnym i wciągnął do akcji tow. Rachimowa. Nieznany nam, a przecież życzliwy tow. Rachimow okazał zrozumienie i polecił, abyśmy zgłosili się za jakiś czas u tow. Sajdowa z „Inturistu”. Kiedy ten czas upłynął, tow. Sajdow oświadczył, że ma dla nas bilety na jutrzejszy lot do Bucharji, z tym, że będziemy musieli lecieć wieczorem.

A nie można by tak rano?
— Nie ma miejsc.
— Jak przylicimy w nocy, to z

kolei nie będzie miejsc w hotelu... — Bardzo możliwe. W Bucharze jest zawsze pełno turystów.

Popędziliśmy raz jeszcze do **PRAWDY WASTOKA** i Arkadiusz Zadrowski raz jeszcze niepokoił tow. Rachimowa.

Nieznany nam, a przecież życzliwy tow. Rachimow zapytał ilu nas będzie.

— Troje.
— Ten trzeci, to kto?
— Fotograf i plastyk, Ryszard

Grzybowski.

— Spróbujemy...

Zadzwęczało jeszcze kilka telefonów. Jeden z nich ujawnił nam, że polecimy rejsem 19 o godz. 9,40 czasu taszkienckiego, drugi, że zarezerwowano już dla nas pokoje w najlepszym hotelu Bucharji i trzeci, że na lotnisku w Bucharze będzie nas oczekiwać naczelny redaktor lokalnej gazety, tow. Popkow.

— Naprawdę nie wiem, jak Wam dziękować — mówiłem w drzwiach do Skudowicza i Zadrowskiego (przy



STAROŚĆ

Dalszy ciąg ze str. 3

lepsze warunki życia i pracy, postęp w medycynie.

W 1950 roku żyło w Polsce 8,2 proc. ludności w wieku powyżej 60 lat. W 10 lat później ludzi, którzy przekroczyli 60 lat było już 9,6 proc. W 1970 roku — 12,9 proc. W 1972 roku — 13,5 proc.

W tym samym 1972 roku, w Łodzi na ogólną liczbę 774 tys. mieszkańców, mieliśmy około 123 tys. osób w wieku powyżej 60 lat.

Tyle roczniki statystyczne, które potwierdzają tylko ogólne spostrzeżenia. Ale za tymi liczbami kryją się ludzie, ze swoimi codziennymi sprawami, kłopotami i zmartwieniami. Dla wielu ludzi starych są to sprawy i kłopoty bolesne, a jakże często — tragiczne.

Zawrotne tempo naszego życia wymaga od człowieka szczególnych zdolności adaptacji. Radzi sobie z tym człowiek młody, w pełni sił fizycznych i umysłowych. W miarę ich wy-

czerpywania się różnie wysiłek, dzięki któremu można utrzymać się w codziennym rytmie życia. I nagle, pewnego dnia, staje człowiek przed barierą społecznej użyteczności, za którą jest już nadmiar wolnego czasu, samotność, poczucie bezużyteczności. Człowiek wypada ze swego produkcyjnego i zawodowego środowiska, stwierdza, że ów zasłużony wyciecznik, zamiast stać się autentycznym wytwornikiem, staje się udręka.

Próbują więc ludzie starzy włączyć się do normalnego życia. Szukają takich form działania, w których mogliby wykorzystać swoją wiedzę, doświadczenia, umiejętności. Czasem jest to działanie społeczne w różnych związkach, terenowych grupach partyjnych, komitetach FJN, samorządzie mieszkańców. Spotykają się w klubach seniora, wychowują wnuczęta.

I wszędzie jest tak długo w porządku, póki żyje współmałżonek, póki interesuje się rodzina, póki sił

starca. Najgorsze przychodzi z chorobą, z systematycznie powiększającą się niedołężnością. Stary człowiek zostaje skazany wtedy na autentyczną samotność. Żyje niekiedy jeszcze wśród ludzi, ale oni są zajęci swoimi sprawami, pracą, rozwiązywaniem codziennych kłopotów. Nawet ci najbliżsi mają dla nich coraz mniej czasu — dla ojca, matki. Jakże często nie ze złej woli.

Stary człowiek czuje się coraz bardziej odsunięty na margines. Coraz bardziej potrzebuje opieki, której nie ma kto zapewnić. A bywa i tak, że zostaje bez najbliższych. Sam wśród ludzi.

I wtedy zaczyna czekać na śmierć.

3.

W naszym ustroju stary człowiek ma zagwarantowane prawo do świadczeń emerytalnych, bezpłatnej opieki lekarskiej, korzystania z usług domów rencisty. Ma także prawo do szacunku młodszego reszty społeczeństwa. Swoje odpracował i tą pracą zasłużył sobie na szacunek i opiekę.

Antoni Kepiński: „Ludzie starzy zwykli mówić, że starość Panu Bogu się nie udała. Brakuje już sił, łatwo przychodzi zmęczenie, zużyty organizm częściej daje znać o sobie, słabną siły odpornościowe, blaha choroba

może być przyczyną katastrofy...”

I wtedy sprawy pozornie drobne zaczynają urastać do rozmiarów pierwszorzędnej katastrofy. Stanie w kolejkę w sklepie, wizyta u lekarza, utrzymanie wokół siebie czystości, krócej — organizowanie sobie życia i obrona własnych interesów.

„Procesy starzenia się ludności w naszym mieście stają się coraz to większym problemem zarówno w działalności służby zdrowia, jak i pomocy społecznej” — czytamy w oficjalnym sprawozdaniu.

Z danych łódzkiego oddziału Zakładu Ubezpieczeń Społecznych wynika, że na koniec 1972 roku wydatki na emerytury i renty dla osób powyżej 60 lat życia wyniosły 1,7 miliarda zł. Niezależnie od tego, zarówno agendy rad narodowych, jak i organizacje społeczne: PKPS, PCK świadczą poważne sumy na opiekę nad chorymi, pozbawionymi środków do życia, którzy pobierają najniższe renty.

Organizuje się domy dziennego pobytu, kluby seniorów. Obecnie korzysta z ich usług około 400 osób, którym zapewnia się całodzienne wyżywienie, rozrywki kulturalne, dla których prowadzi się terapię zajęciową, zapewnia opiekę lekarską i inne, niezbędne im usługi. W Łodzi działa aktualnie 9 tego typu placówek, w tym 2 domy dziennego pobytu, prowa-



czym czulem także głęboką wdzięczność do wujaszka Rachimowa.)
 — Nie ma o czym gadać — powiedział red. Zadrowski.
 — Napiszcie coś z Bucharą, chętnie Was wydrukujemy — powiedział Skudwicz. A potem usmiechnął się jeszcze i dorzucił:
 — Nie spóźnicie się tylko na samolot. Przecież jutro o 14,00 macie zamówiony spod hotelu samochód na pustynię.

2.

Edward Nowak był mądrym, spokojnym i życzliwym szefem grupy. Nie sprzeciwiał się naszemu wyjazdowi, aczkolwiek, i słusznie, wziął od nas pisemne oświadczenie, że: „w porozumieniu z władzami Republiki odłączamy się od wycieczki na własne życzenie; po trzech dniach zobowiązujemy się połączyć z nią w Samarkandzie”.

— Wkładki macie?
 — Mam.
 — To zapiszcie sobie jeszcze numer grupy. W ten sposób dowiecie się na lotnisku w Samarkandzie, gdzie nas szukać.
 Jeszcze tylko wspólna noc w taszkentkim hotelu „Dustlik” („Przyjaźń”), a następnego dnia, o szóstej rano rozpoczęliśmy działania samodzielne. Od tej pory nikt już za nas nie myślał. Nikt nie budził nas na śniadanie, nikt nie przypomniał, że za godzinę mamy odjazd na lotnisko. Z uczestników zorganizowanej i grzecznej grupy turystycznej przestaliśmy się w trójkę zwiariowanych podróżników, co chwilami napawało nas dumą, a chwilami dręczącym niepokojem.
 Jednakże odróż przebiegała sprawnie. Na lotnisku bagażami naszymi zaopiekował się przedstawiciel „Inturistu”. W małej kawiarni na piętrze zjedliśmy „polskie” śniadanie — jajecznica, bułki z masłem, kawa ze śmietaną. Niebawem znaleźliśmy się w samolocie, którym okazał się mały, ale budzący zaufanie AN.
 Stewardesa, widząc, że ma na pokładzie dziennikarzy, zrobiła nam długi i precyzyjny wykład na temat Republiki. Mówiła o jej stolicy,

Taszkencie, który w sześćdziesiątym szóstym roku powalony był tragicznym w skutkach trzęsieniem ziemi, a przecież dzisiaj — dzięki ofiarnej pomocy wszystkich radzieckich narodów — nie znajdziemy w nim śladów zniszczenia; nowa wspaniała architektura współgra z orientalnym charakterem starych dzielnic. Miasto od dłuższego czasu stanowi platformę współzawodnictwa dla najnowszych, jakże różnorodnych tendencji architektonicznych, gdzie obok rewolucyjnych rozwiązań technicznych wszechobecne są stare tradycje Wschodu. Mówiła, że Uzbekistan, którego obszar wynosi 447.400 kilometrów kwadratowych, jest czwartą pod względem ludności (12 i pół miliona) Republiką Związku Radzieckiego, a obok Uzbeków żyją tu Rosjanie, Tatarzy, Kazachowie, Tadźycy, Żydzi, Ormia, Afgańczycy, Turcy i kilkanaście innych nacji. Poza półtoramilionowym Taszkentem klejnotem Republiki są takie miasta, jak prastara Samarkanda (269 tysięcy mieszkańców), zagubiona ośrodek oaz Choreszemu Chiwa, która była kiedyś stolicą potężnego Chanatu oraz legendarna Bucharą (116 tysięcy ludzi). Mówiła: — Za kilkanaście minut będziemy w Bucharze, a teraz znajdujemy się nad pustynią Kyzyl-Kum. Kyzyl-Kum to po uzbecku Czerwone Piaski, a Kara-Kum — Czarne. Po lewej stronie widzicie góry piaskowe, a po prawej ogromne zbiorniki wody. Te małe punkciki na zboczu góry, to stada wielbłądów. Z lotu ptaka pustynia wydaje się martwa, ale nie dajcie zwieść się pozorom. Kyzyl-Kum nie jest martwą ziemią. Jeśli ktoś z was wybierze się tam samochodem, albo innym środkiem transportu, naocznie się o tym przekona...

3.

Zgodnie z przyrzeczeniem oczekiwałam nas na lotnisku redaktor Popkow, zastępca szefa SOWIECKIEJ BUCHARY (gazeta codzienna, poświęcona sprawom miasta i obwodu; ukazuje się w nakładzie 20 tysięcy egzemplarzy). Podwił nas re-

dakcyjnym wozem do hotelu „Bucharą”. Przed drzwiami pokoju czekały nasze bagaże. Chłopiec hotelowy wniósł je do środka, a kiedy chciałem wcisnąć mu napiwek, powiedział z godnością:
 — Nie nada.
 W hotelu mieszkali Amerykanie, Niemcy, Rumuni, Francuzi i Anglicy. Było to akurat siedemnastego października, zbliżała się pora wielkiego meczu Polska-Anglia, toteż Brytyjczycy okazywali wielkie podniecenie. Jeden z nich, sześćdziesięcioletni o czerwonej, otyłej twarzy człowieka, którego żadna siła na świecie nie potrafi powstrzymać przed zjedzeniem na obiad czterech krwistych befszytków, studiował wzięcie „Daily Mirror”, szeroko gestykulując i dzieląc się uwagami z towarzystwem. Zaintrygowało to Elżbietę. Poszła do hotelowego kiosku i kupiła za cztery kopieki „Trybunę Ludu” sprzed pięciu dni i ten „Daily Mirror” sprzed tygodnia. Z „Trybuny” dowiedzieliśmy się, że Polacy zremisowali z Holandią, natomiast „Daily Mirror” donosił na kolumnie sportowej, że... wynik meczu Polska-Anglia nie zależy w żadnym wypadku od kondycji i techniki zawodników, a także — proszę się nie dziwić! — od strategii i taktyki trenerów. Na Wembley będzie z ramienia FIFA Stanley Rous i niech się nikomu nie wydaje, że jest to wizyta przypadkowa...
 — O co tu chodzi? głowiła się Elżbieta.
 — Mgliste to, fakt! — przytaknęła.

— Ten dziennikarz sugeruje, że wynik został ustalony na wiele tygodni przed meczem... Czy to możliwe?
 Myśleliśmy o tym do chwili, kiedy przed hotelem nie pojawił się nasz samochód. Potem oddaliśmy się radości postrzegania. Minęliśmy magazyny bawełny; spiętrzone na dziedzińcach stogi białego pierza i wjechaliśmy na pustynną drogę. Ale beżmiar czerwonych piasków był jeszcze daleko przed nami...
 Po obu stronach szosy ciągnęły się wydarte pustyni potacie uprawnych pól... Sady owocowe, rozciągające się po horyzont plantacje bawełny, od czasu do czasu przycupnięte do ziemi wioski. Podmuchy wiatru wzbijały w niebo tumany żółtego pyłu, ale na poboczach pasły się w najlepsze stada czarnych owiec, tak zwane „karakulu”. Spotykaliśmy raz po raz podróżujących wierzchem na osiołkach Uzbeków; starców w zawojach, którzy przywozili na myśl Bajki z Tysiąca i Jednej Nocy i młodych chłopaków w dżinsach, którzy rozdzielali, niszczyli beżwiednie starą modę i pradawny obyczaj.

Jechaliśmy w szóstkę: Elżbieta, Grzybowski i ja na tylnym siedzeniu, kierowca, przewodnik i przygarbiony przez nas jugosłowiański dziennikarz na przednim. Przewodnik uczył nas historii tego miasta i tej ziemi, a robił to z wielką pasją. Jugosłowianin był marudny, co chwila zatrzymywał samochód, ażeby sfotografować jakiś obiekt. Niecierpliwili się przy tym:
 — Gdzie ta pustynia?
 — Spokojnie — mówił przewodnik.
 — Spokojnie...
 — A wielbłądy będą?
 — Może będą, a może nie...
 — A ta elektryczność daleko się ciągnie?
 — Przez całą pustynię — powiedział przewodnik i zatoczył ręką szeroki łuk.
 Sady owocowe, plantacje bawełny, słupy wysołego napiecia, stada pasących się grzecznie owiec... Co to za pustynia?... Przejechaliśmy już pięćdziesiąt kilometrów. Jeszcze drugie tyle i będziemy w Gazli, a Gazli — bardzo przepraszam — jest już za przyrzeczeniem wszelkiej egzotyki. Gazli, to wielka „fabryka” gazu ziemnego, zasłaniająca miasta Uralu, Kazachstanu, Kirgizji, Tadżykistanu i Fede-

racyjnej Republiki Rosyjskiej (aż po Moskwę). Gazli, to wytężona praca ludzkich mięśni i umysłów. Co jakiś czas mijają nas z rykiem klaksonów samochody i autobusy komunikacji podmiejskiej, wiozące z Gazli do Gazli robotników o spalonych słowcem twarzach. Niektórzy pozdrawiają nas uniesionymi w górę rękami, inni śmieją się radośnie — stoimy akurat na skraju szosy — z naszych paradnych ubiorów. Jest niemiłosierny upał. Z „Trybuny Ludu” dowiedzieliśmy się, że w Polsce spadły już pierwsze obfite śniegi, gazety moskiewskie donoszą o mrozach, a tu, pod Bucharą, trzydzieści stopni w cieniu. Ale gdzie jest ten cień? Gdzie się schować?
 Odłączam się od reszty towarzystwa i ruszam przez ustępujący pod nogami piach w stronę ludzkich — ostatnich już — obęśle. Wskakuję mi naprzeciw kilkunastoletni Uzbek.
 — Sabaka! Sabaka!
 — Gdzie? — zneruchomiałem w miejscu.
 — Ooo!... — pokazuje mi dyszące pod kaktusem psa o rozmiarach średniego niedźwiedzia. A potem pyta:
 — Wy od kuda?
 — Z Polski.
 — Z Polski? — ucieszył się i zaczął prowadzić jakies żwawe pertraktacje z powarkującą gniewnie „sabaką”. Szeptal coś, klepał ją po karku. Doszli chyba w końcu do porozumienia, bo skinął na mnie gestem zaproszenia, mówiąc:
 — No, paszli...
 Stodoła, podwórko, na którym hałasował osiołek, wreszcie dwuizbowe mieszkanie: wzorzysty dywan na ścianie, parę złotych, miedzianych dzbanków na kredensie o zdecydowanie nowoczesnych kształtach, skrzynia o bogatym, tradycyjnym ornamentyce, licząca chyba z dwieście lat, a na niej dwudziestojednocalowy telewizor z wyrzuconą na dach anteną. Obok łóżeczka zaścienionych czerwono-czarną kapą stało sobie na półce tranzystorowe radio. Młec w uzbeckiej „tiubitiejce” na głowie skrzętnie nastawiał adapter i mieszkanie zawirowało dźwiękami narodowej muzyki.

Z kuchni, która mieściła się na podwórku, weszła do pokoju gospodyni, a tuż za nią pan domu. Są oracownikami kolchozu. Żyją tu już kilkanaście lat. Oj, zmieniła się ta ziemia, zmienił się ludzie...
 Od szosy doleciał mnie przeciągły odgłos klaksonu.
 — Muszę wracać, samochód czeka — powiedziałem.
 Wyrazili ubolewanie. Zgodnie z pięknym obyczajem Wschodu chcieli nakarmić mnie i napić (z gestem takim spotykałem się we wszystkich przykoczowych domach; niemal w każdym mieszkaniu było radio, telewizor, adapter; tu i tam widziałem również lodówki i pralki). Chcieli porozmawiać o nieznanym, niby tak dalekiej, a przecież bliższej Polsce. Nie ponawiali jednak zaproszenia — taktownie, wraziłi, godni ludzie z pustyni Kyzyl-Kum.
 Kiedy szedłem w kierunku szosy, ponaglany natrętnymi dźwiękami klaksonu i hamowany lekkiem przed ogromną „sabaką”, usłyszałem za sobą przeciągłe wołanie kilkunastoletniego Uzbeka:
 — Hej, brat!
 Obejrzałem się.
 — Jak twoja familia?
 Powiedziałem.
 Idąc ku swoim czulem na piersiach ciężar smutku. Przetarłem chustką spoczną twarz, zapaliłem papierosa. Piątka moich towarzyszy nie kryła rozdrażnienia. Przed nami była jeszcze przecież daleka droga.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Zdjęcia: ANDRZEJ WACH

KANDYDUJĄ DO RAD NARODOWYCH



WŁADYSŁAW UDALSKI

Władysław Udalski urodził się w 1929 r. w powiecie wielunińskim, w rodzinie cniopskiej. Jest absolwentem Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Łodzi. Od dwudziestu lat pracuje w dziennikarstwie, aktualnie jest kierownikiem działu rolnego w „Głosie Robotniczym” i sekretarzem POK w tej redakcji. Znany publicysta, odznaczony Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Mimo przygotowania pedagogicznego — mówi Władysław Udalski — poświęcił mnie pracę dziennikarską. W działalności publicystycznej szczególnie zainteresowany jest tematyką wiejską. Jako kandydat na radnego WRN często spotyka się z mieszkańcami i dzięki ich wypowiedziom gromadzi materiały, które winny być wzięte pod uwagę w działalności przyszłej rady narodowej, gdyż dotyczą one najważniejszych spraw, którym żyje współczesna wieś.

Mam tu na myśli m. in. rozwój kultury w województwie, ponieważ rolnik nie może być jedynie producentem, ale równocześnie odbiorcą dóbr kulturalnych, gdyż i ten element, włączony do całości życia ludzkiego, przyczynia się do wzrostu ekonomicznego rozwoju gospodarczego.

Widzę tutaj dużą rolę gminnych ośrodków kultury, współpracę z nimi dyrektorów gminnych szkół zbiorczych, celem podniesienia życia kulturalnego, na tzw. dalekiej prowincji. Wiadomo przecież, że sama telewizja nie załatwi nam sprawy. Ponadto, z czym spotykam się np. podczas spotkań w Rawkowie, ważna sprawa jest dowódz dzieł do gminnych szkół zbiorczych, odpowiednie ich wyposażenie kadrowe i sprzętowe, co powinno sprzyjać wyrównaniu poziomu między szkołą wiejską i miejską.



JAN WOJCIECHOWSKI

Jan Wojciechowski urodził się w 1933 r. Jest absolwentem Wydziału Filozofii Chrześcijańskiej na KUL oraz Filozofii na Wydziale Filozoficzno-Historycznym UL. Działacz ruchu społecznie postępowego „Pax”, od osiemnastu lat redaktor oddziału łódzkiego „Słowa Powszechnego” oraz członek Stowarzyszenia „Pax”. Jako dziennikarz i działacz społeczny zajmuje się głównie problematyką pracy, jest autorem takich m. in. publikacji, jak „Praca — podstawa i źródło osiągnięć Kraju Rad” i „Litość i wartość pracy w ustroju socjalistycznym”. Nieobecność mu również sprawy rolnictwa. W ub. kadencji był członkiem komisji gospodarki komunalnej i mieszkaniowej WRN. Odznaczony Honorową Odznaką Ziemi Łódzkiej.

— Gdybym został radnym — mówi Jan Wojciechowski — najwięcej czasu poświęciłbym takim zagadnieniom, jak np. problem wyrównania dysproporcji w rozwoju bazy dla szerokiej polskiej infrastruktury społecznej, a w zakresie polityki społecznej zajmowałbym się sprawą rozwoju budownictwa mieszkaniowego oraz ochrony i kształtowania środowiska ekologicznego człowieka.

Myślę, że intencje VI Zjazdu, potwierdzone przez I Krajową Konferencję Partijną winny być należycie wykorzystane do maksymalnego udziału ekonomicznego poszczególnych regionów w dynamizowaniu kraju, a z drugiej strony w dążeniu do egalitaryzmu społecznego międzyregionalnego. Ważnym czynnikiem są tutaj: odpowiednia baza dla rozwoju kultury i oświaty, stan kadrowy służby zdrowia i inne.

BOGDA MADEJ

dzone przez Zespół Opieki Zdrowotnej Łódź-Sródmieście. Kluby seniorów organizuje Polski Komitet Pomocy Społecznej.

Dodajmy do tego jeszcze działalność związków zawodowych, które troszczą się o swoich rencistów, organizują z nimi spotkania, opiekują się nimi w miarę swoich możliwości, organizują im wycieczki, a także zapewniają udział w zakładowych wczasach.
 I ta cała działalność na rzecz ludzi starych trochę nas uspokaja. Każdy ma ustawowo zagwarantowaną spokojną starość. Społeczeństwo robi, co może i na co je stać. Nie ma właściwie się czym przejmować.

Ale te wszystkie formy pomocy i opieki dotyczą głównie ludzi jeszcze fizycznie i psychicznie sprawnych. Największym problemem staje się zapewnienie pomocy i opieki ludziom, którzy weszli w najtragiczniejszą fazę starości.

4.

Byłem w takim domu, gdzie spędzają resztę życia ludzie zniechęceni, chorzy nieuleczalnie, bo chorzy po prostu na starość. Słuchałam opowieści kobiety, która takim domem kieruje.

— Mam tu do czynienia z ludźmi chorymi. Niektórzy leżą czasem w łóżku po kilka lat. Ale to są ludzie

żywi, wymagający specjalnej opieki, których trzeba traktować z wyrozumiałością, ale bez niepotrzebnej litości.

...Mówię naszym pracownikom: — Tu, w pokoju, placz i zgrzytaj zębami. Tam, na górę idź z uśmiechem.

...Zdarzają się różne sprawy. Pewien starszy pan zaczął nagle okazywać sympatię starszej pani. Przesiadywał u niej w pokoju, a ona nie mieszkała przecież sama. Zaczęły się pretensje, nieporozumienia. Kazaliśmy ubrać się im odświętnie i zejść do świetlicy. Cały dom wiedział, że będzie ślub. Dostali wspólny pokój. Żyli razem szczęśliwie, aż jedno zmarło. Czy zrobiliśmy dobrze? Wiem, że im pomogliśmy, choć był to nieformalny ślub. Postąpiliśmy — moim zdaniem — po ludzku.

...Opiekować się ludźmi chorymi na starość nie jest łatwo. Praca jest cięższa niż w szpitalu, a honorowana tak samo. Tu pracuje się ze świadomością, że nawet najtroskliwsza opieka nie uratuje przed śmiercią. To zalamuje. Stałe brakuje nam salowych. W tej chwili — dziesięć.

...Dlaczego do nas nie przychodzą na praktykę uczniowie szkół medycznych?

...Staramy się, aby nasi pensjonariusze czuli się jak w domu. Urządzamy im święta. Będzie wigilia, choinka,

dla każdego paczka. Ale jest to namiastka domu.

...W ciągu trzyletniej pracy tylko parę razy zdarzyło się, że chorego zabrano na święta do domu. Odwiedziny też są tutaj oficjalne. Czasem bliscy przychodzą, aby wyłudzić od chorego trochę pieniędzy, zabrać mu jakieś drobiazgi, bo „po co mu to, on i tak na państwowym wickie”.

5.

W natłoku codziennych spraw nie pamiętamy, że każdego z nas też czeka starość. Jest to dla nas sprawą przyszłości. Dla jednych bliższej, dla innych — dalszej. Ale to nas — jako społeczeństwa — nie zwalnia od obowiązku myślenia o tym, co stało się już społecznym problemem. Zaczęliśmy się tymi sprawami interesować dopiero od niedawna. Podjęła je między innymi Telewizja Polska w cyklu audycji „Jesień życia”. Przedstawiła kilka propozycji. Jedną z nich była poznańska rodzina zastępcza dla staroego człowieka.

W Łodzi oddano niedawno do użytku „Dom Kombatanta” i pierwszy „Dom Spokojnej Starości” — wybudowany z inicjatywy RSM „Lokator”. Taki sam dom buduje RSM „Bawelna”. Mamy 2 domy dziennego pobytu i 7 klubów seniora. Na miejsca w do-

mach rencisty i domach specjalnej opieki czeka przeszło 400 osób.

Jesteśmy dopiero u początku drogi w rozwiązywaniu tego społecznego problemu. I chociaż wszyscy zapewniamy, że pieniądze na ten cel są, to zgodnie powtarzają, że przede wszystkim nie ma ludzi, którzy by się tym zajmowali. W naszej społecznej świadomości pokutuje jeszcze przekonanie, że opieka i pomaganie starym człowiekowi jest czymś żenującym i poniżającym. Specjaliści mówią:
 — Pora przestać traktować pomoc dla ludzi starych jako działalność społeczną. Tutaj, tak jak w każdej dziedzinie współczesnego życia trzeba odwołać się do specjalnie przygotowanych ludzi, którzy swoją pracę traktowaliby jako obowiązek zawodowy. Trzeba takich ludzi przede wszystkim wyszkolić. Stworzyć specjalistyczną służbę, tak jak ma to miejsce w przypadku zwalczania różnych społecznych chorób. Trzeba nam i geriatrów, i ludzi, którzy spełnialiby w stosunku do osób starych najprostszą usługę.

6.

Bywają jesienie słotne. Ale „podobnie jak jesień może być najpiękniejszą porą roku, tak i starość może być najlepszym okresem życia...”.



W kopalni od lewej: Główny Inżynier LZG mgr inż. Bolesław Solarzski, Przewodniczący Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Łęczycy Tow. Kazimierz Wielec, Nauczelnny Dyrektor LZG mgr inż. Jan Jądro, i Sekretarz KP PZPR w Łęczycy Tow. Jan Budziński, Zawiadowca Kopalni Łęczycy-1 mgr inż. WŁADYSŁAW WIESZCZEK.

Foto: Witold Stelmaszewski.
Dalszy ciąg ze str. 1

miedzi, cynku, ołowiu, soli, gazu ziemnego, co przy obecnej sytuacji na światowym rynku surowcowym wprawia nas w nienajlepsze samopoczucie. Niestety, mimo rozwiniętego hutnictwa, nie mamy wysokoprocentowych rud żelaza jak magnetyty i hematyty. Buzujemy więc na import z ZSRR i tym co posiadamy: na syderechty z okręgu częstochowskiego, staropolskiego, i właśnie rudzie łęczycyckiej.

Postawmy sprawę jasno. Nie są to rudy najlepsze, bo i trudne w eksploatacji i zawierające tylko ok. 30 proc. żelaza. Lecz w jakimś stopniu uzupełniają import. I co nie bez znaczenia, z samego faktu wydobywania rud żelaza mamy 5-procentową zniżkę przy transakcjach zagranicznych (takie są przepisy). Stąd więc nie inwestując w tempie z lat pięćdziesiątych utrzymujemy ten przemysł w racjonalnych rozmiarach. Racjonalnych, a więc bez sentymentu.

Tak jest również w ŁĘCZYCKICH ZAKŁADACH GÓRNICZYCH, które od kilku lat weszły na drogę stopniowej, bezkonfliktowej adaptacji do sytuacji, którą dyktują wymogi dnia dzisiejszego i możliwości przyszłości.

Już bowiem obecnie w LZG ponad połowa produkcji to nie ruda i lupek, ale wyroby metalowe. A myśli się o podjęciu nowych rodzajów działalności np. niezwykle potrzebnych usług w rzeź budownictwa.

Tu jednak potrzebne jest wyjaśnienie, podanie propozycji: wydobyć wynosi jeden do sześciu na korzyść lupków, które są surowcem bardzo potrzebnym do produkcji cementu. A wiadomo jak jest z cementem. Stąd więc prawie nieograniczone zapotrzebowanie ze strony cementowni „Warta I i II” w Działoszynie, a od przyszłego roku zgłosił się nowy Kontrahent, cementownia „Kujawy”. Płynące z tego tytułu korzyści, rozpatrywane w makroskali, są oczywiście... I chociaż stałe od lat dwudziestu ceny na surowce, w wycinkowych analizach ekonomicznych nie dają kierownictwu LZG najlepszego samopoczucia, to przecież świadomość, że gospodarka narodowa to jeden wielki, wspólny kocioł — napawa przekonaniem o pożytku płynącym z własnego działania. I jest to myślenie i odczucie prawidłowe, poparte dodatkowym faktem, że

w przeciągu ostatnich trzech lat LZG prawie czterokrotnie poprawiły uzyskane efekty ekonomiczne w działalności wydobywczej.

Te sprawy wyjaśniliśmy sobie z nowym dyrektorem naczelnym LZG mgr inż. JANEM JĄDRO, który od kwietnia br. kieruje zakładami. Siedzimy w nowoczesnie urządzonej klubie, którym zawiaduje NOT. Pora nie najlepsza, bo za chwilę ma być zebranie, a ponadto dyrektora oczekuje jutro wczesnym rankiem wyjazd do Łodzi. Nie martwi mnie to specjalnie, bo nie rzecz w tym, żeby naczelnych brać na spytki, ale samemu wyrobić sobie jakieś rozeznanie. A takie można zdobyć raczej w bezpośrednich rozmowach, dalej od biurka a bliżej przedka.

Frapuje mnie jednak postać szefa LZG, jego decyzja przeniesienia się z ministerstwa, z Warszawy, do niewielkiej Łęczycy. I obcesowo zadają to pytanie.

— Po pięciu latach pracy w ministerstwie — odpowiada bez wahania dyr. Jądro — zażęknem znowu za pracą w kopalni. Ale nie tylko w tym rzecz. Po prostu uważam, że nie powinno się być zbyt długo oderwanym od spraw produkcji, człowiek musi się sprawdzać na różnych odcinkach, mieć wszechstronne rozeznanie.

Przyznaje, że to oświadczenie nie zrobiło na mnie wrażenia deklaracji. Często słyszy się podobne poglądy w różnych środowiskach zawodowych. I trzeba im tylko przyklasnąć, bo na pewno tedy droga. Rotacja kadr to obecnie jakby usankcjonowanie takiego sposobu myślenia, obrona przed zbytym zasklepieniem w zawężonym światku, rutyna.

A z drugiej strony przeczuwam, że jak już dyr. Jądro wejdzie jutro w te wysokie urzędy to nie wróci o zapowiedzianej porze. I tak rzeczywistość było, ale górniczych spraw nie pilnuje się tylko w Łęczycy.

Wciąż wyrabiam sobie to własne rozeznanie i przed siódmą, torami z nowego osiedla, idę do kopalni, na ażymut górującego nad okolicą szczytu. Ranek jest zimny i wietrzny. Nad całym krajem tej nocy szalały wichury. Kiedy godzinę temu szła tedy pierw-

sza zmiana było jeszcze ciemno i wiatr bardziej porzywisty.

Inżynier Wieszczyk zabiera się do pierwszego śniadania. Wie co robi, bo później nie będzie już czasu do końca zmiany. A nawiasem mówiąc górnik musi dobrze zjeść, dużo i dobrze. Inaczej nie wytrzyma w tej robocie. Stąd z reguły żony śląskich górników nie pracują, zajmują się domem. Tutaj w Łęczycykiem jeszcze jest różnie, jeszcze górnik po szychcie, koszeniem opoczynku i zdrowia wychodzi w pole. Ale i to się zmienia, piętnaście lat odkad ruszyła kopalnia robi swoje.

Tak więc od początku to porównania. W kopalni węgla byłem kilka razy, w kopalni rudy nigdy. Jest tak samo, ale do pewnego momentu. W szatni pod sufitem wiszą na łańcuchach ubrania, obok łaźnia. Przebieramy się w normalny górniczy rynsztunek: kombinzone, buty gumowe, hełm, lampa. Przy okazji czytamy hasła wymalowane na ścianach. Są charakterystycznie konkretne. Ot, choćby: „Pamiętaj! I m sześć. drzewa kosztuje 840 zł, I m taśmy gumowej kosztuje 520 zł, I krząknij 81 zł. Oszczędzaj! A gdzieś z boku „Lepiej pracujesz, lepiej zarobisz! Dobrze gospodarowanie, dobra... 13 pensa!” Ale nie tylko kopalniana rzeczywistość dominuje w tych hasłach, bo czytamy: „Więcej wyprodukujesz, więcej towarów w sklepach”.

A kiedy po wojskowemu uwinąłem się z umundurowaniem, czekając na inż. Wieszczyka, lustruję tablice w przestronnym holu. Czytam więc, że koło PTE namawia na odczyt pt. „Zastosowanie analizy wartości w przedsiębiorstwie przemysłowym”, koło Związku Wędkarskiego gróźnie wzywa (obecność obowiązkowa!) swoich członków na zebranie. Koło NOT z kolei uprzejmie prosi kolegów i ich żony na spotkanie przy muzyce. Są i listy pożyczek i wyniki współzawodnictwa w akcji DO-RO, a przedują w tej dobrej robocie Brygada Chodnikowa Nr 322 (pierwsze miejsce), Brygada Chodnikowa Nr 706 i Brygada Ściana Nr 2. Są też życzenia od Jana Lesia, przewodniczącego ZG Zw. Zaw. Górników, a wczoraj w budynku dyrekcji widziałem w dużym powiększeniu kopię dyplomu uznania podpisanego przez towarzyszy Glerka i Jaroszewicza.

Jakże więc nie czytać ogłoszeń chociaż są nie zawsze aktualne. O czymś znacznym świadczą. Podobnie

„BLIŻEJ PRZODKA..“

jak wykresy, słupki, tabele wskaźników ekonomicznych, które tchną nie tylko propagandowym optymizmem, bo za każdą liczbą kryje się wysiłek ręk i umysłów ludzi od łopaty i od pióra.

Inżynier Wieszczyk jest człowiekiem łagodnym i wyraźnie mniej oszczędza. Pokazuje co charakterystyczne, typowe. Dnia by nie starczyło żeby obejść kopalnię. Po króciutkim zjeździe szymbem wysiadamy sto metrów pod ziemią. Idziemy chodnikiem, tunelem z kabląkową, metalową obudową. Jak w węglu, tylko nie te wymiary. Schodzimy upadową o sporym kącie nachylenia, „za darmo”, jak mówią górnicy, bo z górki łatwiej. Docieramy do ściany. Ma sto metrów długości. Tutaj kończy się wycieczkowy spacer. Trzeba paść na kolana, przyjąć pozycję naszych przodków nim weszli na drzewa i prawie czolgając się brnąd do przodu.

Zatrzymujemy się co chwilę. Najpierw szytgar zmlanowy Henryk Gazda składa meldunek:

— Panie zawiadowco, szytgar Gazda melduje stan robót (tutaj wyliczenia) i stan załogi (także).

W jakiś czas później ten ceremonial powtarza Bronisław Zasada, kierownik oddziału. Robi wrażenie na mnie ten wojskowy zwyczaj, ale w kopalni to nie sprawa uszanowania hierarchii, ale konieczność dyscypliny i porządku. Jest to przecież nieustanna sytuacja bojowa.

Powoli zaczynam się orientować w tym układzie. Wiem, że ci w białych hełmach to dozor, w czerwonych — elektrycy, w niebieskich — mechanicy, żółte noszą aktywiści BHP. No i oczywiście szare, niemalowane, to górnicze. Na naszej zmianie pracuje na ścianie tylko pięciu ludzi. To zmiana przygotowawcza: dwóch wiertaczy, dwóch strzałowych, jeden ubijacz. Na drugą zmianę przyjdzie Brygada eksploatacyjna, ok. 30 ludzi. Oni wybierają urówek, budują podsadzkę, przestawiają obudowę.

Pracują parami. Wiertacze Jan Koliński i Tadeusz Kucharski mają do wykonania ok. 150 otworów. Nie jest to praca łatwa, mimo elektrycznych wiertarek. Nie bardzo chce mi się wierzyć, ale muszę, że kilkanaście lat temu wiertono otwory ręcznie. Po wypaleniu papierosa (tutaj można, nie ma gazu) czolgamy się dalej.

Strzałowi Bronisław Grabowski i Władysław Koldrak zapoznają mnie ze swoją robotą. Ażkołwiek trzeba mieć dużą wiedzę i doświadczenie żeby odpowiednio wybrać miejsce na otwór, w tym wypadku dochodzi jeszcze umiejętność obchodzenia się z materiałami wybuchowymi. Czerwone ładunki amonitu są różnej wielkości, o odpowiedniej sile wybuchu. Trzeba więc umiejętnie dobrnąć, połączyć przewodami, sprawdzić układ przy pomocy omiomyrza i dopiero wtedy odstąpić. Do tego dość skomplikowana dokumentacja, ale zrozumiała, że ostrożność i porządek muszą w tym wypadku być rygorystycznie przestrzegane.

Przechodzimy znowu dalej, jeśli to czolganie można w ten sposób nazwać. Inżynier Wieszczyk przeprosza mnie za brak nakolanników, o których zapomniał. Raz przejeżdżając jednak i na rzęsach, gorzej to wygląda na co dzień. Nic więc dziwnego, że spędzając życie za biurkiem, trochę głupio czuję się leżąc w towarzystwie tych ludzi, których praca jest tak trudna. I z chęcią przepehnałbym przez tę ścianę tych wszystkich, którzy zazdroszą górnikom wysokich zarobków.

Zazdroszą, ale by chyba nie chcieli zamienić swych trzech tysięcy na zarabiane tu, powiedzmy, sześć. I takie są fakty. Średnia wieku załogi pracującej z ziemią jest wysoka. Tu, w samych LZG, młodzi pracownicy chętnie garną się do pracy „w metalu”, na powierzchni. Mimo zarobków, przywilejów i poczucia dumy, że

przynależą się do stanu, który ma nie tylko w społeczeństwie szacunek, ale i swoją mitologię.

Stąd i rozmowy pod ziemią są oszczędne, krótkie, stereotypowe. Oni wiedzą swoje, znają swoją wartość, wiedzą, że ocenia się ich nie po słowach lecz czynach. Ja z kolei bronie się przed zdawkowością, bo nie trudno powiedzieć tu coś głupawego, ośmieszyc się i jednocześnie zrytować tych ludzi. No i nie przeszkadza, bo chociaż na Barbarkę plan roczny będzie wykonany, to zawsze droga jest każda minuta. Swoje trzeba zrobić.

I jeszcze chwila emocji. Wyjeżdżamy pod szyb taśmociągami, „Gwarciem”, jak nazywają go żartobliwie górnicy. Leży się na brzuchu, w przerwach między kawalami rudy, podskakuje na rolkach. Wsiada się i wysiada w biegu na specjalnych drewnianych podestach. Ryzyko przy tym niewielkie, a ulga dla strudzonego szczytą górnika duża. Taśmociąg funkcjonuje od trzech lat, ale Urząd Górniczy zgodził się dopiero przed rokiem na ten oryginalny transport osobowy. Dzięki temu jest siedemset metrów łażenia mniej, a i chwila wytchnienia więcej.

Po kilku godzinach jesteśmy na powierzchni. Do pokoju zawiadowcy ciągle ktoś zagląda, pyta się o dyspozycje, podsuwa dokumenty do podpisania; dzwonią telefony. Dzień jest ponadto szczególny, bo w kopalni jest ekipa z Urzędu Górniczego z Częstochowy, gdzie siedział zjednoczenia. Urząd Górniczy to coś w rodzaju „górniczej policji”, a więc goście niezbyt mile widziani. Nie wywołują jednak popłochu, są tu, jak się okazuje, często i współpraca układa się dobrze.

Pałaszujemy regulaminową zupę regeneracyjną i możemy względnie spokojnie porozmawiać. Ta kolejność jest zrozumiała, najpierw trzeba zobaczyć, bo inaczej — mówił dziać do obrazu... Inżynier Wieszczyk niezbyt chętnie mówi o sobie, wołalby o innych. Zna prawie całą załogę z nazwiska, a chyba nie tylko. Więc z tych najlepszych wymienię tylko pionierów, którzy na wieść o budowie kopalni ścignęli tu z całej okolicy, ze Świnic, Parków, Piasku, które jeszcze i teraz nazywają się „górniczymi wsiami”.

Do tych pionierów i ludzi dobrej roboty trzeba więc zaliczyć Leonarda Jeziorskiego, który kiedyś w swojej wsi był sołtysiem, a teraz jest brygadziwą robot pomocniczych i sekretarzem partii na oddziale zrzecim. Stanisław Grzybowski jest tożsamym dozoru, Józefa Drozdowskiego, który 17 lat temu był ślusarzem, a od lat jest produkującym górnikiem. Tadeusz Bernacki przybył z grupą staropolską i stanowi cały rozdział w kopalnianej historii. Popularny, cieszący się zaufaniem, delegat organizacji partyjnej na VI Zjazd i Krajową Konferencję Partyjną, górnik przodowy. Do tej grupy należy również Edward Krysiak, którego spotykam w sekretariacie zawiadowcy. Jest aktualnie na zwolnieniu lekarskim, serce zaczyna się odzywać, co Krysiaka raczej dziwi, bo po raz pierwszy od czternastu lat nie chodził do roboty.

Mówimy jeszcze o innych oddanych, zasłużonych ludziach, ale to nie powieść dokumentalna tylko krótka relacja z dwudniowego pobytu. I czas nagli.

Uparty byłem... — mówi w pewnym momencie zawiadowca i chyba trafia w sedno w biografii, typowej i nietypowej jednocześnie. Posadałem go od początku o śląski rodowód, ale to stare naleciałości w akcencie. Urodził się w Rzeszowskim w 1930 roku. Pod koniec 45 razem z jeszcze ośmioma kolegami wyjechali na Śląsk. Typowa droga werbusów z

„PISZĘ O ŚLĄSKU, BOM ŚLĄZAKIEM..“

Gustaw Morcinek, choć nie był — jak sam do końca życia utrzymywał — potomkiem górnika, a synem rolnika, piwa, jako jeden z pierwszych, wprowadził do literatury kopalnię, z całym bogactwem jej skomplikowanych realiów. Motyw kopalni przewija się przez twórczość pisarza właściwie od początku do końca. Występuje w nowelach ulętych w zbiorze „Serce za tamą” (tom debiutanki) i w „Górnicy” w „Wyrabianym chodniku” i „Wyrabianych kamieniach”, w „Pokładzie Joanny” i „Śledniu zegarach kopidola Joachima

Rybki” w „Inżynierze Szerudzie” i „Wskreszeniu Herminy”; tytuły można by tu jeszcze długo mnożyć.

Znal Morcinek kopalnię jak rzadko który pisarz, sam bowiem przez wiele lat w niej pracował. Osobiste doświadczenia wyniesione „z dołu” rozstrzygają o autentyczności jego prozy. Liczne rzesze czytelników nie ze słownika ani encyklopedii, ale z jego własnej książki dowiadywały się, co znaczą takie słowa, jak strop, pochynia, calizna, przekop, rzapia.

Po latach wyciężonej nauki i pracy

Morcinek zmienia zawód — z górnika staje się nauczycielem. Całym sercem i duszą był zawsze przy swych podopiecznych. Będzie wspominał: „Jakieśkolwiek były owe dzieci, głodne, ubogie, czasem brudne, w polatanej odzieży lub dostatnio ubrane, jakiegośkolwiek one były — uśmiech zawsze dzwonił w naszej klasie, a słońce zawsze nam świeciło, chociaż mógł to być dzień pochmurny i deszczowy. Ja zaś zawsze starałem się rodmuchiwać owo słońce, by było jeszcze większe i jeszcze bardziej złote”.

Nowa profesja umożliwiła Morcinkowi nie tylko baczną obserwację szkoły, ale i osobiste zaangażowanie w jej życie. Nie ominęła go wówczas nędra i praca ponad siły. Spostrzeżenia z tego ciężkiego dnia okresu głęboko zapadły w pamięć pisarza, z nich bowiem wyrosła jedna z najbardziej interesujących powieści zatytułowana „Wyrane kamienie”. Książka ta jest wyrazem pamięci i holdu złożonego nauczycielom, którzy na co dzień borykali się z wieloma kłopotami i trudnościami, których dość często nekala gruźlica. Do tego samego kręgu tematycznego, choć sposób ujęcia jest inny, zaliczyć trzeba dwa tomy o powiadań — „W najmłodszym lesie” i „Miasteczko nad rzeką”. Obrazki i felietony pedagogiczne tam zamieszczone pokazują życie szkolne, zapoznają z całym mechanizmem pracy z młodzieżą, ukazu-

ją — by nie powiedzieć — odsłaniają ciekawe przejawy psychiki uczniów i rodziców. Oba tomy określić można jako interesujące i trafne spostrzeżenia początkującego pedagoga i dydaktyka.

Spokojne życie Morcinka nieoczekiwanie przerwała agresja Niemiec hitlerowskich na Polskę. Pisarz stał się jedną z pierwszych ofiar cieszynskiego gestapo. Aresztowano go, został zademonstrowany przez jednego ze swych uczniów. Przy spisywaniu z dokumentów w czasie aresztowania obok nazwiska Morcinka zanotowano imię August (czyli właściwie imię pisarza), nie zaś Gustaw, którego używał i pod jakim powszechnie był znany. Ten na pozór drobny i mało znaczący fakt zdecydował o życiu Morcinka, zdecydował o tym, że zdołał on przeżyć sześć koszmarnych lat w Sirochowie, Sachsenhausen i Dachau.

Doświadczenia obozowe w zasadniczy sposób wpłynęły na pisarstwo wielu twórców. Pod wpływem tych — jakże gorzkich! — doświadczeń, Morcinek napisał „Listy spod morwy (Sachsenhausen — Dachau)”, „Dziwczynę z Champs Elysees”, „Listy z mojego Rzymu”, „Dwie korony. Rzecz o Ojcu Maksymilianie Mariu Kolbem”, „Zagubione klucze”. Wszystkie te książki bardzo silnie łączą motyw wojny. Lata spędzone w obozie nie pozwoliły pisarzowi przejść obojętnie obok najważniejszych

nurtu literatury powojennej, dotyczącego martyrologii narodu w epoce zmasowanego ludobójstwa. Na tle licznych książek poświęconych tragicznemu doświadczeniu Europy, która przeżyła swój nieludzki czas, wymienione utwory Morcinka przynoszą sporą garść obserwacji rzeczywistości wojennej widzianej przez pryzmat jego własnej osobowości.

Autobiografizm odnajdujemy w książkach poświęconych kopalni, szkole, ludziom z lagrów, a i tak nie jest to ich pełny rejestr. Trzeba koniecznie uzupełnić go nowelą „Noc listopadowa”, której bohater Henryka Zarębę mamy prawo utożsamiać z autorem oraz powieścią „Czarna Julka”, będąca niemal dosłownym przypomnieniem karwińskiego dzieciństwa — najogólniej mówiąc — o dzieciach i dla dzieci.

Do młodego czytelnika adresowane są także trzy tomy baśni śląskich opartych na autentycznych przekazach folklorystycznych. „Jak górnik Bulandra diabła oszukał”, „Przedwieźni śląskie powiarki”, „Przedwieźni historia o zbojniku Ondraszku” — książki te należą do szczytowego okresu twórczości Gustawa Morcinka. Nie przetwarza on ludowych tekstów, lecz przytacza ludowe konstrukcje narracyjne. Pisarz umiejętnie wykorzystał w tych utworach ludową drabinę sprawiedliwości oraz specyficz-

owych czasów. Choć Władysław Wieszczyk zawsze chciał się uczyć. Skończył więc gimnazjum i liceum górnicze. W 51 roku był już w... Warszawie. Nie uciekł z górnictwa, po prostu zwerbowano go do budowy metra. Po dwóch latach, jak wiadomo budowę przerwano, Wieszczyk wyładował w Częstochowie. Ale to już za sprawą pewnej częstochowianki. Podjął pracę w pobliskiej kopalni „Barbara”, kierując najpierw działem wentylacji, a później robotami górnictwami. I nie zapominał o nauce, co nie było rzeczą ani prostą, ani łatwą. Jednak w 62 roku ma już dyplom magistra inżyniera i jakiś etap w życiu zamknięty.

Wtedy przychodzi propozycja z Łęczycy. Przyjął, bo trochę skusił ładnym mieszkaniem, odpowiedzialnym stanowiskiem, ale i świadomością, że praca się na wysuniętej placówce miała swoje znaczenie. W każdym razie zamienił Wieszczyk Częstochowę na Łęczycę i wcale tego nie żałuje. I w udany sposób zawiaduje kopalnią od tamtego czasu.

Lecz nie tylko. Nigdy nie stronił od pracy społecznej. Najpierw w OMTUR, od 54 w partii. — Nie lubię marnować

czasu — mówi i znajduje czas na przesłanie w K. S. „Górnik” (spadł w zeszłym roku do klasy B, ale obecnie wszystko jest na najlepszej drodze, trener Sas pewnie prowadzi drużynę piłkarską do awansu, przewodniczy komitetowi rodzicielskiemu szkoły, którą opiekuje się kopalnia, w zarządzie NOT jest wiceprezesa. I nie tylko działaczem, ale czynnym racjonalizatorem, autorem wielu wniosków.

Łęczycą jest małym miastem, ale jeśli się z tym miastem związało swoje losy na stałe, to trzeba umieć znaleźć w nim swoje miejsce i zorganizować sobie życie, sport, odpoczynek, kulturalną rozrywkę. I mimo, że LZG bardzo dobrze współpracują z miastem, myślą także o sobie sami.

Sami musimy sobie stwarzać odpowiednie warunki — mówi inżynier Wieszczyk i tak myśli cały aktyw społeczny kopalni. I nie poprzestają na słowach, chociaż im do pełnego zadowolenia jeszcze daleko.

A przecież jeszcze jest dom. Ta wspomniana częstochowianka pracuje także w LZG w dziale księgowości. Mają troje dzieci: dwóch synów i córkę. Starszy jest już w klasie matural-

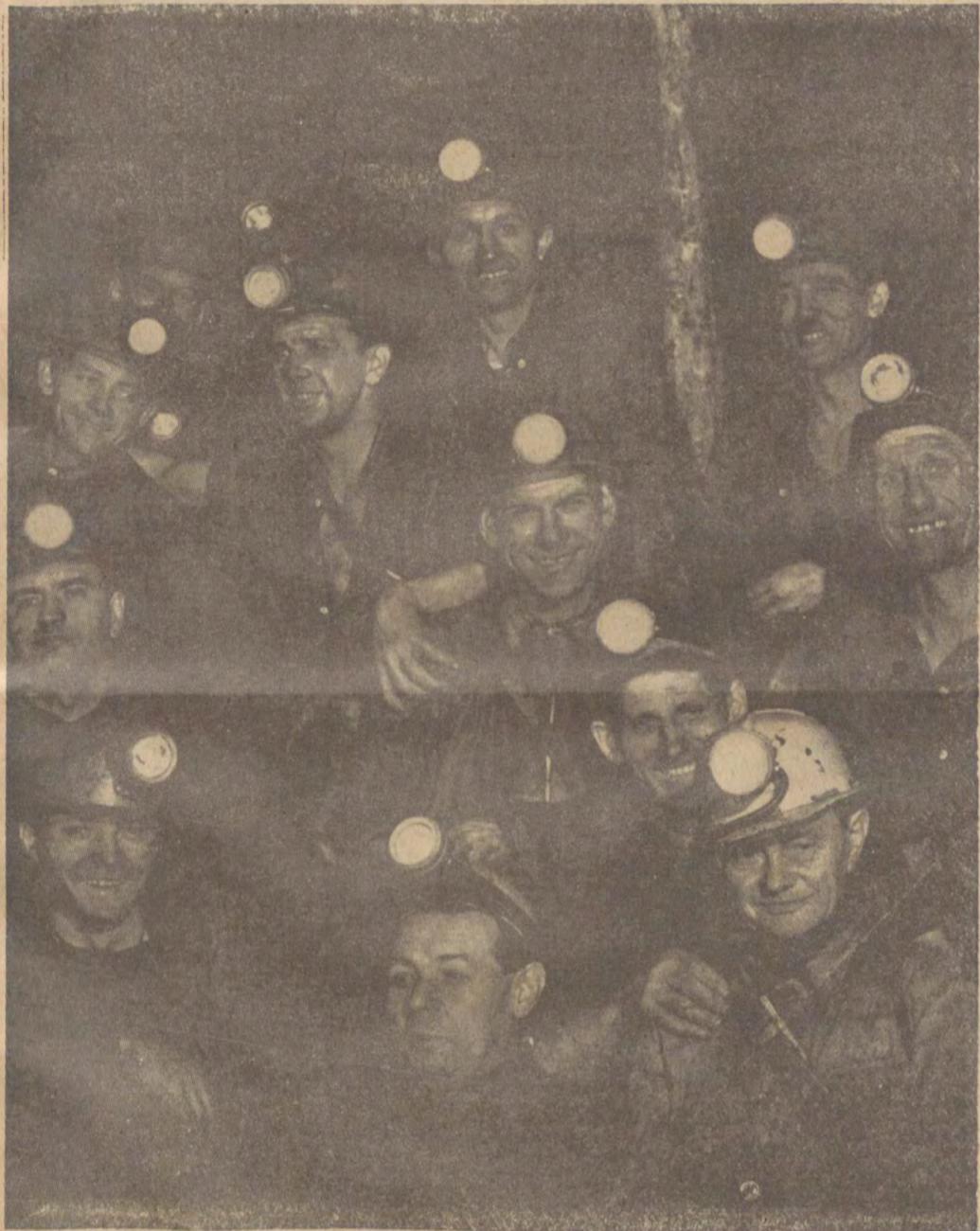
nej i myśli o architekturze, na razie wprawiając się jako szkolny plastyk. Dzieci uczą się dobrze, co rodzicom daje dużą satysfakcję. Wychowywane są troskliwie, ale rodzice uczą ich samodzielności, nie rozpieszają.

Od zeszłego roku życia byłem samodzielny — mówi inżynier Wieszczyk — i nie wyszło mi to na złość.

★ ★ ★

I wreszcie trzeba wyjaśnić tę sprawę 35-lecia pracy w górnictwie. Przez wiele lat obecny zawiadawca kopalni „Łęczycy” był ratownikiem. Zgodnie z przepisami każdy rok pracy w ratownictwie górniczym mnoży się przez 1,66 i tak nalicza staż. Stąd ten „jubileusz”, jaki obchodzić będzie człowiek, któremu zaledwie trzy lata temu stuknęła czterdziestka.

JERZY WAWRZAK



Fot. Archiwum

na koncepcje postaci. Wartki styl baśniowy jest w tych książkach kompromisem między poprawnym władaniem piórem a autentyczną sztuką ludową. Skoczowski pisarz nie chciał jej ani poprawiać, ani ulepszać. Do grupy książek, w których folklorystyczny dorzucić trzeba powieść o słynnym dowódcy zbrojów w Beskidzie Śląskim, Ondraszku.

Wyodrębniając charakterystyczne dla prozy Morcinka motywy, trzeba koniecznie wymienić jeszcze jeden, mianowicie motyw powstań śląskich. Autor aż do śmierci pozostał wierny tematowi powstańczego zrywu zapoczątkowanemu powieścią „Wyrębany chodnik”. Konflikty wokół którego ogniskuje się sytuacja fabularna tej książki jest narodowościowym konfliktem Polaków i Niemców. Akcja utworu ogarnia schyłkowe lata XIX stulecia i pierwsze dwudziestolecie XX wieku, a jej punktem centralnym staje się walka narodziłowa i walka robotników śląskich oraz plebscy i powrót Śląska do Macierzy. Omawiana powieść odegrała wielką rolę w tworzeniu świadomości narodowej, czego najlepszym dowodem są słowa Wilhelma

Szewczyka: „Wyrębany chodnik” — pisał on — to była książka dla nas! „Wyrębany chodnik” uczył nas patriotyzmu. Ta panorama najnowszych dziejów Śląska miała w sobie urok świeżości, fascynowała nas odkrywcą pasją pisarza zakochanego w Śląsku”.

W dwudziestolecie międzywojennym opublikował także Morcinek nowelę zatytułowaną „Chleb na kamieniu” która mieści się wśród książek o tematyce powstańczej. Lata 1948-1950 przyniosły ponowny nawrót pisarza do motywu powstań śląskich w tym bowiem czasie powstawała najgłośniejsza powieść Gustawa Morcinka z okresu realizmu socjalistycznego pt. „Pokład Joanny”. Zamierzona jako pierwsza próba ukazania rewolucyjnych dziejów Śląska, dokumentować miała ich kolejne fazy. Jedną z nich stanowiły walki powstańców śląskich z lat 1919-1921. Autor dostrzegł tutaj społeczne inspiracje i treści, dzięki czemu dokonał znacznego kroku naprzód.

Tematyka powstańcza doczekała się u Morcinka po raz trzeci gruntownego o-

pracowania, całkowicie wypełniając powieść o fikcyjnym przywódcy walk śląskiego proletariatu, macie Kurcie Krausie. Autor przystąpił do pracy nad tą książką wówczas, gdy wiedza o powstaniach została poważnie rozbudowana, a nauka zgodna była w ocenie ruchów powstańczych, uznając w nich rozmach autentycznej rebelii ludowej. Mamy więc w powieści cały szereg nowych informacji o walkach powstańczych, lepsze oświetlenie roli przywódców oraz obiektywną ocenę udziału mas ludowych w powstaniu.

I wreszcie ostatnia powieść Morcinka wydana już po śmierci pisarza opiewająca o górnika, kopalni i solidarności, zatytułowana „Górnicy zakon”. Stanowi ona niejako wyznaczenie wiary autora w trwałość prostych i niezmiennych zasad moralnych rządzących ludźmi pracującymi w kopalni.

WILHELM KOMPTEL

FELIKS KRZEWIAK

ZAMACH

Był to pierwszy tego rodzaju wypadek w Zgierzu, nie dziwi więc, że postawił on władze w stan pogotowia. Wedle ustaleń urzędu śledczego, wypadki potoczyły się następująco:

„około godziny 8 wieczorem 2 (14) października 1883 r. Józef Sremski idąc ulicami Zgierza zauważył przed wejściem do jednego z domów trzech mężczyzn; gdy minął ich, usłyszał za sobą przyspieszone kroki i wnet potem poczuł, że zadano mu cios w plecy, skutkiem czego upadł; natychmiast jednak podniósł się i spostrzegł przed sobą młodego człowieka z błyszcącym nożem w ręku, który krzyknął po polsku: „Pamiętaj, że jestem rewolucyjnym socjalistą”, po czym rzucił się do ucieczki. Sremski zaczął go gonić głośno krzycząc”.

Zgromadzony tłum pomógł ująć zamachowca, który po doprowadzeniu do magistratu wyjął, że nazywa się Józef Sremski, zaprzeczając jednocześnie wszystkim zarzutom. Poszkodowany J. Sremski rozpoznał w nim człowieka, który odwiedził go przed dwoma tygodniami pod pozorem chęci kupienia fortepianu, który miała do sprzedania właścicielka domu. Zona Sremskiego Katarzyna potwierdziła zeznania męża i dorzuciła, że pod jego nieobecność, w jakichś dwóch godzinach po odwiedzinach J. Sremskiego, pojawił się u niej w mieszkaniu inny nieznanemu mężczyzna, który rozpytywał o pracę.

„Wydawało się to jej podejrzane, a ponieważ wiedziała, że mąż złożył doniesienie na socjalistów i obawiała się ich zemsty — czytamy w aktach prokuratorskich — wyszła za nieznanym. Zobaczyła wówczas, jak na ulicy podszedł on do czekającego na niego nieznanego jej mężczyzny i powiedział: „Nie ma go, chodźmy”, po czym obaj poszli do szynku Sztopa”.

Burmistrz miasta Zgierza zeznał, że w początku września J. Sremski „wskazał starszemu strażnikowi w Zgierzu kilka osób, które rozpowszechniały wśród robotników odezwy socjalno-rewolucyjne” i że osoby te zostały następnie aresztowane. Burmistrz Edward Ślusarski dodał również, że wkrótce potem „w mieście zaczęły krążyć pogłoski, że socjaliści zabiją Sremskiego za doniesienie”.

Zamach na donosiela był pierwszą próbą wykonania wyroku, wydanego przez Komitet Centralny pierwszej polskiej rewolucyjnej partii robotniczej — „Proletariatu” — który od niedawna rozwijał w Zgierzu coraz żywszą działalność. W początku 1883 r. z polecenia kierownictwa partii przybył z Warszawy do Łodzi Hilary Gostkiewicz, doświadczony już wówczas działacz socjalistyczny, który przystąpił do tworzenia zrębów organizacji. Przy pomocy robotnika zatrudnionego w fabryce I. Poznańskiego, tokarza Adolfa Lukawskiego, zamieszkałego w Zgierzu nawiązał kontakt z uświadomionym zgierskim robotnikiem. Aresztem Kaczmarskim, który stał się organizatorem kółka zwolenników partii. Należeli do niego tkackie: Juliusz Blimel, Antoni Czerwiński, Telesfor Kotecki, Franciszek Marciniak, Karol Materno, Józef Nowacki, Franciszek Nurkiewicz, Ludwik Wesfal, stolarz Konstanty Mylestet, felczer Wincenty Polickiewicz i inni.

„Grupa Kaczmarska” stanowiła tylko część zgierskiej organizacji „Proletariatu”. Rozwijała ona swą działalność głównie na terenie Starego Zgierza, podczas gdy na obszarze Nowego Zgierza powstała osobna komórka partyjna, do której należeli tkackie: Stanisław Bugajski, Leon Ciesielski, Józef Czajczyński, Leon Degórski, bracia Franciszek i Jan Helszerowie, Andrzej Michałowski, Jan Pietrusiński i Kazimierz Tomaszewski. Ze względu na warunki konspiracji obie grupy nie utrzymywały ze sobą łączności. Członkowie i sympatycy zgierskiej organizacji „Proletariatu” podjęli szeroką akcję propagandową, kolportując wśród robotników i mieszkańców miasta liczne publikacje, broszury i odezwy o treści rewolucyjnej. Czynili to niejednokrotnie brawurowo, pod boki policji. Wysoka polityczna osobistość miasta Zgierza, jaką był starszy strażnik ziemski Dymitr Nosikow meldował swym zwierzchnikom, że prowadząc dochodzenie w sprawie zamachu na J. Sremskiego, idąc przez miasto „widział naklejoną na parkanie odezwę partii socjalno-rewolucyjnej do robotników, która zjadła, a po powrocie do domu podobną odezwę znalazł u siebie na parapacie okna”. Była to opublikowana przez „Proletariat”, a opracowana przez Stanisława Kucielkę odezwa „Do robotników Łodzi i okolicy”, podpisana przez „Komitet Robotniczy” w Łodzi i datowana 22 września 1883 r. Podobnych odezw, broszur, gazetek i książeczek krążyło znacznie więcej; podawano je sobie z ręki do ręki, odczytywano w zaufanym gronie, dyskutowano i komentowano, co nie mogło ująć uwadze rozbudowanego carskiego aparatu policyjnego i dysponujących nieraz własnym „wywidem” właścicieli fabryk. We wrześniu i październiku 1883 r. sytuacja w Łodzi i Zgierzu znacznie się zaostrzyła, a to ze względu na to, że władze policyjne uzyskały sporo wiadomości o organizatorach ruchu rewolucyjnego.

Nie kto inny, jak właśnie J. Sremski 5 (17) września 1883 r. podszedł do urzędnika policji w Zgierzu D. Nosikowa i „wskazując na znajdujących się w szynku robotników: Ciesielskiego, Czajczyńskiego i Michałowskiego powiedział mu, że są to mieszkańcy socjalist. Następnie przekazał mu numer socjalnego czasopisma „Przedświt”, wydawanego w Genewie, który wziął od Michałowskiego i dodał, że u tego ostatniego można znaleźć jeszcze inne rzeczy”. Dokument władz prokuratorskich, za którym przytoczyliśmy te słowa informuje ponadto, że w wyniku rewizji u dwóch z zadunecowanych socjalistów policja znalazła rewolucyjne pisma i ulotki.

Centralne władze „Proletariatu” poinformowane zostały o zdradzie J. Sremskiego, który był związany z organizacją zgierską i po rozpatrzeniu sprawy wydał mu wyrok śmierci. Odpowiedni dokument został przywieziony z Warszawy do Łodzi, a następnie przedyskutowany na zebraniu łódzkich członków kółek rewolucyjnych przy udziale przedstawicieli centralnych władz partii, a także — jak się przypuszcza — reprezentantów niemieckiej socjaldemokracji, przybyłych z Wrocławia. Znany już nam H. Gostkiewicz wyznaczył do wykonania wyroku Józefa Sremskiego, który przebywał wówczas w Łodzi, oraz zaprawionego w działaniach konspiracyjnych działacza Gabriela Trzeszkowskiego. Ten ostatni przybył jako pierwszy do Zgierza, gdzie miał omówić z robotnikami sprawę przygotowania zamachu, ale do zebrania nie doszło; wówczas J. Sremski postanowił zabić J. Sremskiego w jego mieszkaniu, ale nie zastał go w domu.

W organie partyjnym „Proletariat” w numerze trzecim z dnia 8 (20) października 1883 r. opublikowany został komunikat Komitetu Centralnego o wykonaniu wyroku śmierci, bez wiadomości o wyniku zamachu; z tekstu można było się domyślić, że był on nieudany, skoro tuż obok opublikowane zostało ostrzeżenie przed J. Sremskim wraz z uwagą, że „ta sama kara spotka każdego zdradę — szpiega i donosiela”.

Nie powiodła się również druga próba wykonania wyroku, jaką podjęto w Zgierzu w marcu 1884 r. Tym razem wykonawcą był członek „Proletariatu” ślusarz Julian Hübsche, któremu udało się jednak tylko zranzić J. Sremskiego; poszukiwany przez żandarmerię zbiegł on następnie do Żyrardowa, gdzie nadal działał z ramienia organizacji.

Tymczasem zgierska organizacja „Proletariatu” nie myślała rezygnować z wykonania wyroku na prowokatorze. Rozważano projekt wywabienia go z mieszkania, wywołując pożar znajdującego się w pobliżu chlewu, ale plan ten odrzucono. W marcu 1884 r. w mieszkaniu tkacka Teofila Blocha w Zgierzu, na zebraniu członków zgierskiej organizacji, w obecności przedstawicieli władz centralnych Stanisława Pacanowskiego i Antoniego Poplawskiego raz jeszcze przedyskutowano całą sprawę. Zebrani domagali się wykonania wyroku, do czego wyznaczono dwóch młodych tkaczy, zatrudnionych w fabryce Borsta, Stanisława Bugajskiego i Kazimierza Tomaszewskiego; drugi z nich brał już udział w pierwszej nieudanej próbie zamachu na zdradę.

26 marca 1884 r. na idącego ulicą Długa prowokatora rzuciło się dwóch ludzi: jeden z nich wy dobył sztylet i zadał mu cios w szyję, po czym obaj usiłovali zbiec. Tlum uniemożliwił ucieczkę S. Bugajskiemu, który dostał się w ręce policji. Młody i niedoświadczony chłopak płał się w zeznaniach i wydał swego towarzysza, który ukrywał się zrazu w Warszawie, potem w innych miejscowościach, wreszcie osaczony oddał się w Żyrardowie w ręce żandarmerji.

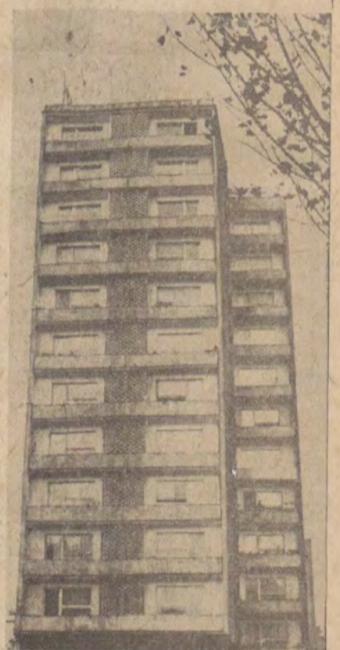
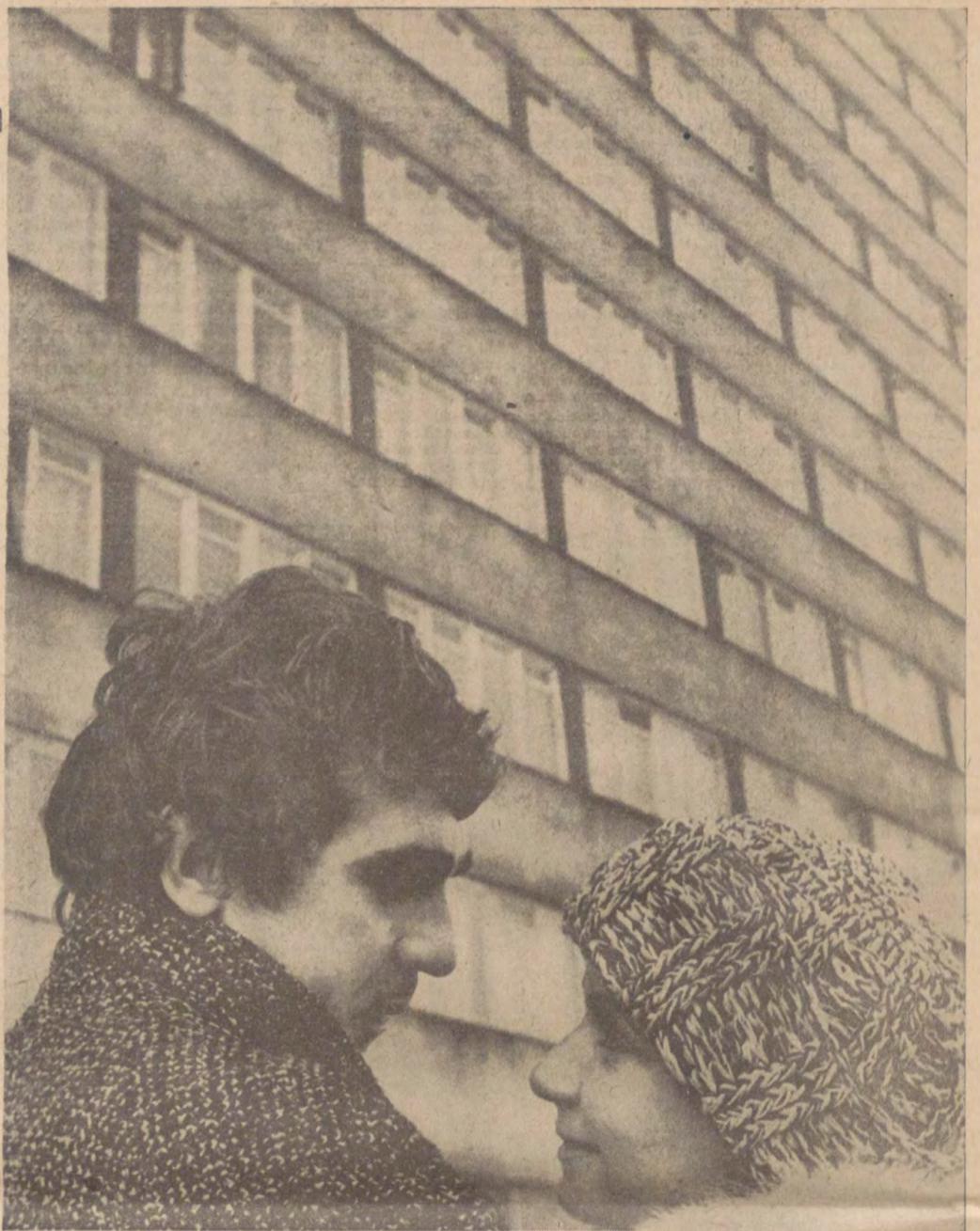
Organizacja ponosiła straty, a tymczasem wyrok wciąż nie był wykonany. Po niepowodzeniu ostatniej próby wykonania zamachu powierzono przywódcy zgierskiej organizacji Franciszkowi Helszerowi. Złwekał on z jego wykonaniem, chociaż zapewniał, iż ustawicznie śledzi donosiela. Udziału to niepokój niektórych członków, zwłaszcza młodego, zaledwie dwudziestoletniego tkacza Jana Pietrusińskiego. Zainteresował on sytuacją przedstawicieli władz centralnych partii, w wyniku czego zwołano u F. Helszera zebranie, na którym w obecności delegatów z Warszawy i Łodzi gospodarz musiał złożyć wyjaśnienia, dlaczego dotąd nie wywiązał się z powierzonych mu zadań. Napięta atmosfera nie została jednak rozładowana i po kilku dniach, kiedy J. Pietrusiński ponownie jał zgłaszać pretensje pod adresem F. Helszera, przedstawiciele centralnych władz „Proletariatu” S. Pacanowski i A. Poplawski ponownie przybyli do Zgierza. Wprawdzie wszystkie pretensje, jakie wysuwano w stosunku do F. Helszera zostały oddalone i J. Pietrusińskiego zmuszono, by go przeprosił, przecież nie nastąpiło rozładowanie napięcia. Niektórzy członkowie zgierskiej organizacji powiadali, że F. Helszer nie tylko nie kwapi się do wykonania wyroku na prowokatorze, ale „wchodzi z nim w podejrzane kontakty”.

Na tę atmosferę podejrzliwości i napięcia, jaka powstała w zgierskiej organizacji „Proletariatu” niewątpliwie oddziaływało poczucie narastającego zagrożenia ze strony władz oraz wiadomości o mnożących się aresztowaniach. Na skierowanie podejrzony w stronę F. Helszera dodatkowo wpłynęła okoliczność, że był on przesłuchwany przez żandarmerję w związku z odnalezieniem odezw rewolucyjnych we wsi Szczawina; rozszła się pogłoska, że wiedział on o tym, kto z członków or-

Dalszy ciąg na str. 11

NOWA ŁÓDŹ

FOTOREPORTAŻ
WŁODZIMIERZA PARYSA



PRZYPOMNIENIE:

Pisaliśmy już o kształtującym się tworze: **LÓDZKIEJ AGLOMERACJI MIEJSKIEJ**, w skrócie nazywanej **LAM**. Piszą o tym również inni. Specjaliści wielu dziedzin zajmują się już problemami tego tworu. Na przykład niedawno obradowano nad sprawami ochrony środowiska w **LAM**.

Lódzka Aglomeracja Miejska jest już pojęciem funkcjonującym w codziennym życiu wielu instytucji, choć formalnie, jako twór administracyjny nie istnieje. Znamy obszar przyszłej **LAM**, nie znamy jeszcze jej struktury organizacyjnej.

Przypomnijmy więc sprawy podstawowe.

POJĘCIE: Aglomeracja jest to obszar zintegrowany pod względem społecznym, ekonomicznym i przestrzennym, złożony z wielkich miast oraz terenów je okalających, powiązanych z nimi funkcjonalnie i przestrzennie.

LAM będzie aglomeracją typu **monocentrycznego**, będzie się opierała na pasmowo-węzłowym układzie przestrzenno-gospodarczym i będzie trzecim co do wielkości i znaczenia tego typu tworem w kraju.

OBSZAR: W skład **LAM** wejdą: **Lódź, Pabianice, Zgierz, Aleksandrów, Konstanczów, Tuszyń, Brzeziny, Stryków, Ozorków, Łask, Zduniska Wola, Głowno** oraz 27 gmin wiejskich, stanowiących naturalne zaplecze tych miast.

do tego odpowiednio przygotować, zwiększając swój potencjał gospodarczy oraz społeczny.

We wrześniu 1971 roku Prezydium **RN m. Łodzi** i **WRN** podjęły wspólną uchwałę, mocą której zatwierdzony został plan opracowywania prognozy społeczno-gospodarczego rozwoju regionu łódzkiego, a jednocześnie zaakceptowano program prac nad prognozą dla rozwoju i ukształtowania **Lódzkiej Aglomeracji Miejskiej**. Dokument ten — obok innych — stał się podstawą dla rozpoczęcia badań nad przyszłością regionu, a w tym przyszłością **LAM**. Badania te podjął zespół, pod kierownictwem dr. **W. Musiała** (przewodniczący **WKPG** w Łodzi) i dr. **B. Retkiewicza** (kierownik Wojewódzkiej Pracowni Planów Regionalnych w Łodzi).

władzy ludowej przyniosły inne ukształtowanie gospodarcze. Powstały nowe fabryki, zmieniła się dotychczasowa struktura przemysłowa, gdzie obok włókiennictwa pojawiały się nowe fabryki przemysłu maszynowego czy elektrotechnicznego. W ostatnich latach natomiast postępuje proces gospodarczej integracji przemysłu Łodzi z przemysłem województwa łódzkiego, opierający się nie tylko na kooperacji, ale też na lokalizowaniu zakładów filialnych w miejskich ośrodkach Ziemi Łódzkiej.

Te procesy — jak również inne — legły u podstaw **Lódzkiej Aglomeracji Miejskiej**. One też wskazują kierunki dalszego rozwoju **LAM**.

KIERUNKI

Zakłada się dziś, że **Lódzka Aglomeracja Miejska** będzie się rozwijała w trzech podstawowych kierunkach: wschodnim (inaczej **koluszkowskim**), zachodnim (czyli **zduńsko-wolskim**) i północnym (czyli **ozorkowskim**). Najbardziej dynamicznie rozwijać się powinien kierunek wschodni. Warunkuje to planowany na najbliższe lata rozwój wschodniej części Łodzi, gdzie wznosić się będzie osiedle mieszkaniowe „**Widzew — Wschód**”, a także w tym rejonie miasta powstanie kolejna elektrociepłownia „**EC — IV**”.

Rozwój przemysłu Łodzi wymaga szeregu inwestycji, których jednakże ze względu na ochronę środowiska człowieka nie można lokować w sa-

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

REKREACJA

Można **LAM** traktować w sposób abstrakcyjny, jako twór powstający obiektywnie, w wyniku działania takich a nie innych przesłanek społeczno-gospodarczych. **LAM** musi powstać i koniec, czy to się komuś podoba czy nie. Ale można też **LAM** traktować w inny sposób: racjonalnie i subiektywnie, starając się zrozumieć przyczyny i skutki zachodzących procesów społeczno-gospodarczych oraz starając się wykorzystywać je z pożytkiem dla społeczeństwa tego rejonu kraju. W myśl takiego stosunku **LAM** powinna powstać, gdyż dzięki temu nastąpi radykalna poprawa warunków pracy i życia ludzi w tym rejonie kraju. **LAM** stwarza bowiem możliwość kompleksowego planowania rozwoju społeczno-gospodarczego i takiego sterowania tym procesem, aby można było przyspieszać poprawę warunków pracy i życia.

Jednym z przykładów tego może być rekreacja. Dzięki kompleksowemu planowaniu już teraz wiadomo, że na obszarze **LAM** trzeba będzie wydzielić następujące strefy ochrony krajobrazu: **Grotniki — Nieświków, Kolumna — Tuszyń** oraz część przypadającą na obszar **LAM** ze strefy **Anderspol — Koluski — Tomaszów Mazowiecki**. Rejony te przeznaczają się na tereny rekreacyjne.

W 1970 roku z różnych form wypoczynku korzystało 260 tys. osób, zamieszkujących obszar **LAM**, z tego 80 proc. w obrębie tego obszaru. Obecnie zakłada się, że do 1990 roku potrzeby ludności **LAM** wzrosną o około 80 proc. I dla zaspokojenia tych potrzeb przewiduje się rejon **Grotniki — Sokolnik, Kolumny — Tuszyń — Dłutowa, Mrogi — Mrozyce**, a także **Rogoźna**, gdzie istnieje możliwość leczniczego wykorzystania źródeł wód mineralnych. Poza tym przewiduje się konieczność rozbudowy terenów zielonych już istniejących, w powstających i powstających osiedlach mieszkaniowych, a także basenów wodnych. Przewiduje się możliwość stworzenia terenów rekreacyjnych w górnym biegu **Neru** w rejonie **Rzgowa**. Zresztą po wybudowaniu grupowej oczyszczalni ścieków znacznie poprawi się stan życia biologicznego w rzekach województwa łódzkiego, a jest to ważne i z tego punktu widzenia, że poza rejonami rekreacji w obrębie **LAM**, przewiduje się rozbudowę ośrodków wypoczynkowych nad wodami **Pilicy, Warty** i **Rawki**.

Modernizacja układów komunikacji samochodowej w kraju spowoduje, że przez teren **LAM** przebiegać będą trasy krajowe i międzynarodowe o dużym nasileniu ruchu. Trzeba zatem dążyć do stworzenia pasów zieleni wzdłuż tych tras, a także do rozwijania tam gastronomii, moteli i sieci usług turystycznych. Wiąże się to z wykorzystaniem zabytków kultury, jakie znajdują się też w tym rejonie Ziemi Łódzkiej.

CENTRUM

Prezentacja problemów **LAM** mogłaby jeszcze zabrać wiele miejsca, gdyż jest ich sporo i są bardzo różnej natury, jako że obejmują całokształt spraw społecznych i gospodarczych, ale czas dojdzie do spraw najtrudniejszych. W dotychczas prezentowanej koncepcji **LAM** Łódź stanowi jej największy i najistotniejszy ośrodek. Uwarunkowane to jest zarówno tradycją dotychczasowego rozwoju społeczno-gospodarczego, jak i gospodarczym i społecznym potencjałem miasta. Czy jednak w przyszłości, kiedy modernizacja układu i środków komunikacji będzie już faktem dokonanym, miasto ma również pod względem kulturalnym pozostać jedynym centrum?

Wątpliwość tę rodzi fakt, że **Lódź** posiada anachroniczną i dalece niewystarczającą bazę kulturalną. **Lódź** niewątpliwie pozostanie centrum naukowym i akademickim. Wyznacza to już program inwestycyjny, zarówno ten realizowany w bieżącej pięcioletniej, jak i ten planowany na dalsze lata. Przewiduje się przecież rozbudowę **Instytutu Medycyny Pracy**, budowę nowych pomieszczeń dla **Instytutów Włókien Sztucznych i Syntetycznych, Techniki Ciepłej, Włókiennictwa i Celulozowo-Papierniczego**, a także dla centralnych laboratoriów

poszczególnych przemysłów. Przewiduje się również dalszą rozbudowę poszczególnych łódzkich wyższych uczelni, a państwowe wyższe szkoły **Muzyczna i Teatralna, Filmowa i Telewizyjna** potrzebują budowy nowych, niezbędnych im pomieszczeń. Musi nastąpić też, przebudowa wewnętrznej, merytorycznej struktury szkolnictwa średniego zawodowego oraz wyższego, i jeśli w tym pierwszym można będzie również wykorzystać dla kształtujących się potrzeb **LAM** dydaktyczne możliwości szkolnictwa średniego z poszczególnych ośrodków **LAM**, to dla szkolnictwa wyższego **Lódź** pozostanie jedynym centrum, rozbudowując najwyżej w miarę potrzeb i możliwości system filii.

Inaczej sprawa wygląda z kulturą. Potrzeby modernizacji bazy są tutaj olbrzymie i one rodzą wielkie zamierzenia. Niektóre z tych zamierzeń przybierają już konkretne formy. Wiadomo na przykład, że w **Parku Kultury i Wypoczynku w Łodzi** powstanie **Muzeum Sztuki**. Wiadomo, że **Lódź** potrzebuje jest galeria sztuki, że rozbudowy wymagają muzea, teatry. Wiadomo dalej, że potrzeba jest nowych bibliotek, kin, domów kultury i to są już potrzeby zarówno **Lodzi**, jak i innych ośrodków **LAM**. Siedziby swojej nie posiada „**Strada Łódzka**” i **Teatr Ziemi Łódzkiej**.

W tej sytuacji rodzi się pytanie: czy wszystkie placówki kulturalne muszą się koncentrować w przyszłym centrum **Lodzi**, a także w przyszłym centrum **LAM**? Czy dla niektórych zamierzeń nie byłoby wskazane szukać lokalizacji poza rejonem ulicy **Piotrkowskiej**? Przecież sal widowiskowych nie posiadają wielkie skupiska miejskie **LAM** — **Pabianice, Zgierz**, bezpośredni sąsiedzi **Lodzi**. Pamiętajmy, że realizacja tych zamierzeń będzie następowała z jednoczesną modernizacją komunikacji i rozwojem motoryzacji. W końcu budując dzielnicę **Krakowa — Nową Hutę** postawiono teatr, który swego czasu był słynnym na cały kraj mimo, że znajdował się w pobliżu tradycyjnego ośrodka teatralnego **Polski**. A więc nie lokalizacja decyduje, a zespół, a ludzie i ich koncepcje. Dotyczy to również przyszłych zamierzeń kulturalnych **LAM**.

Wśród tych zamierzeń mówi się o sprawach małych i dużych, jako że taka jest rzeczywistość, którą chcemy zmieniać. A zmusza ona do tego, aby zakładać potrzebę tworzenia domów kultury z salami widowiskowymi w pomieszczeniach nowych lub adaptowanych przede wszystkim w **Brzeziny, Tuszyń, Koluszkach, Strykowie**, a następnie w każdej z pozostałych siedzib zarządu gminy, aby postuluować poszerzenie zakresu działalności kin objazdowych, wyposażając je jednocześnie w nowoczesną aparaturę projekcyjną. Gradaćja potrzeb zmusza do tego, aby obok takich założeń, projektować budowę **Muzeum Miasta w Łodzi** i **Muzeum Techniki i Sztuki Filmowej** oraz domy kultury z salami widowiskowymi i wystawowymi. Jednocześnie możliwość projektowania rozwoju kultury w skali **LAM** stwarza szansę dla projektowania takiej koncepcji, która odpowiadałaby przyszłemu potrzebom blisko 1,5-milionowej ludności **Lódzkiej Aglomeracji Miejskiej**, traktującej ten twór, jako wynik procesu integracji, a jednocześnie traktując kulturę, jako jeden z istotnych czynników integracyjnych. I takiej koncepcji rozwoju kultury w **LAM**, jak na razie i jak to wynika z istniejących prognoz — nie ma.

PRZYPOMNIENIE II:

Dziś na obszarze **LAM** mieszka około 1 300 tys. osób. W 1990 roku — będzie to mieszkać według prognozy około 1,5 miliona osób. Proces kształtowania się **Lódzkiej Aglomeracji Miejskiej** obliczono na dziesięciolecie i ma ona stać się trzecią co do wielkości i znaczenia aglomeracją Polski. Proces ten może przebiegać zgodnie z założeniami lub mogą wystąpić bądź przyspieszenia bądź opóźnienia. Wydaje się jednak, że im szybciej będziemy dążyli do ukształtowania **LAM** zgodnie z zachodzącymi procesami społecznymi i gospodarczymi i racjonalnie będziemy wykorzystywali te procesy, sterując nimi w sposób umiejętny a pożyteczny, tym skuteczniej będziemy zmierzali do podniesienia rangi i znaczenia **Lodzi** i **LAM** w krajowej strukturze gospodarczej i społecznej. Dziś **Lódź** jest tylko drugim miastem co do wielkości. Jutro — może być jedną z decydujących w kraju aglomeracji.

Foto: W. Parys

PERSPEKTYWA - ŁAM

Na obszarze tym wykształca się strefy: obszaru centralnego, zurbanizowanego, urbanizującego się oraz rolnictwa i rekreacji.

Na obszarze tym krzyżują się główne szlaki komunikacyjne z północy na południe i z zachodu na wschód.

Skoncentrowany tutaj jest przemysł lekki, głównie włókienniczy wraz z ośrodkami naukowymi (instytuty i centralne laboratoria) oraz ośrodkami dyspozycyjnymi (zjednoczenia).

Są to więc wszystko prognozy, które bądź staną się podstawą dla opracowania konkretnych już planów, bądź mogą być obalone w toku dalszych prac, na korzyść propozycji bardziej realnych, bardziej korzystnych dla tej części kraju. Nie wynika jednak z tego, że przyszłość **LAM** jest hipotetyczna. Przeciwnie. Nie jest ona tworem sztucznym, a wzięła się z naturalnych przesłanek rozwoju społeczno-gospodarczego kraju.

i poza tym terenem — dopiero lata nym mieście. Od dawna typowano **Koluski**, jako siedzibę wielkiej Odlewni żelaza. Dobra komunikacja **Koluski** z **Lodzią** gwarantuje sprawne przygotowanie kadry w szkołach zawodowych **Lodzi**, a także stały kontakt z łódzkimi placówkami naukowymi. Warunki te powodują w konsekwencji, że **Koluski** typuje się na znaczący ośrodek przemysłowy przyszłej **LAM**, tym bardziej, że leżą one na ważnym szlaku komunikacji kolejowej.

Podobne warunki decydują o rozwoju dwu innych pasm **LAM**: **ozorkowskiego** i **zduńsko-wolskiego**. Czynnikiem dynamizującym przyszły rozwój pasma **ozorkowskiego** będzie modernizacja układów komunikacyjnych w tym rejonie oraz już postępująca rozbudowa **Lodzi** w jej północnej części, a więc budowa dzielnic mieszkaniowej „**Zgierska — Stefana**”, przebudowa ulicy **Zgierskiej**, budowa dzielnic przemysłowej „**Radogoszcz**”. Zacieśniają się też gospodarze więzy **Ozorkowa** z **Lodzią**, buduje się bowiem w **Ozorkowie** oddział łódzkiego Kombinatu Tekstylnego-Odziewowego „**Teofilów**”.

Nieco inne przesłanki bierze się pod uwagę przy tworzeniu prognozy dla przyszłego pasma **zduńsko-wolskiego**. Tutaj dla lepszego wykorzystania możliwości produkcyjnych społeczeństwa przewiduje się utworzenia z **Łasku** i **Zduńskiej Woli** ośrodków przemysłowo-usługowych oraz połączenie ich z **Lodzią** i **Pabianicami** zmodyfikowanym układem komunikacyjnym. Ten kierunek rozwoju wyznacza budujące się „**Retkinia**”, a także przyszłe dzielnice przemysłowe „**Smulsko-Srebrna**” i w okolicy **Pabianic**.

O przyszłości **LAM** i poszczególnych jej rejonów decydować będą nie tylko względy gospodarcze, nie tylko przyszły rozwój przemysłu. Stanowi on podstawę. Obok tego istnieją też inne czynniki, a jednym z nich jest konieczność zapewnienia ludziom wypoczynku.

ŚRODEK POLSKI

Lódź i województwo łódzkie zwykło się nazywać **środkiem Polski**, choć faktycznie **środek Polski** znajduje się w **Piątku**. Do rozszerzenia tego pojęcia i objęcia nim całego regionu uważa centralne położenie województwa łódzkiego, okalającego **Lódź**. **LAM** w owym „**Środku Polski**” stanowić będzie centrum nie tylko administracyjne, ale przede wszystkim gospodarcze, usługowe oraz naukowo-kulturalne.

Sąsiadować **LAM** będzie z podregionami przemysłowo-rolniczymi: **kutnowskim, skierniewickim, piotrkowskim** oraz rolniczym — **sieradzkowo-wieluńskim**, tworząc duży, zwarty, wzajemnie powiązany region gospodarczy. W ramach tego regionu znajduje się też przyszłe **Zagłębie Belchatowskie**.

Trudno dziś odpowiedzieć na mechanicznie niemal nasuwające się pytanie: jaki wraz z powołaniem **LAM** ukształtuje się podział administracyjny tej części — centralnej przecież — kraju? Jedno jest pewne. Nim jeszcze powstanie **LAM** — już jako twór formalny — **Lódź** musi znacznie powiększyć swój obszar, jest to bowiem żywotna sprawa miasta, które musi zyskiwać tereny pod budownictwo mieszkaniowe oraz dzielnice przemysłowo-magazynowe. **Lódź** ma bowiem być centrum **LAM** i musi się

TRADYCJA

Rozwój **Lodzi** w ostatnich 150 latach uwarunkowany był wieloma czynnikami, a w konsekwencji złożyły się one na to, że powstał tu wielki ośrodek przemysłu włókienniczego. Podstawą do tego były znaczne zasoby wody, które w miarę rozwijania włókiennictwa zaczęły się wyczerpywać, aż doszło do deficytu wody. Zlikwidowany on będzie obecnie dzięki utworzeniu **Zalewu Sulejowskiego** oraz uruchomieniu **Wodociągu Sulejów-Lódź**.

Przez długie lata w **Lodzi** przeważał przemysł włókienniczy i dopiero od niedawna postępuje zmiana struktury przemysłowej **Lodzi** na korzyść przemysłów maszynowego i elektrotechnicznego, a także intensywnej modernizacji przemysłu lekkiego, co w konsekwencji doprowadzi do zmiany warunków pracy i życia mieszkańców tego regionu.

Wraz z rozwojem **Lodzi** kształtowały się ośrodki „satelitarne”, też opierające się na przemysle włókienniczym: **Pabianice, Zgierz, Konstanczów, Aleksandrów, Tomaszów Mazowiecki, Zduniska Wola**. Ale też w ośrodkach tych obok włókiennictwa — w większym stopniu niż w **Lodzi** — rozwijały się inne przemysły: chemiczny (**Zgierz** i **Tomaszów Mazowiecki**) i metalowy. Jednakże i tu — i to na terenie przyszłej **LAM**, jak

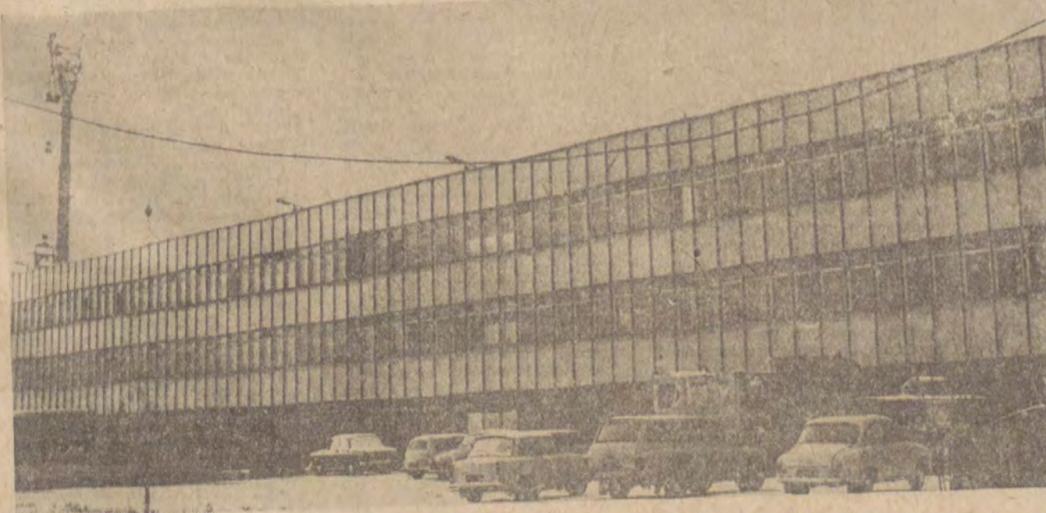


Foto: W. Parys

na żonę splaywało brzemie spraw domowych. Przeszkody piętrzyły się, siedem lat czekaliśmy na samodzielne mieszkanie, mieliśmy kłopoty z ułokowaniem dziecka w żłobku i woziliśmy Małgosię tramwajem a Chojen do Śródmieścia.

Tak wspomina życiowy start inżynier JAN SZUBERT, zastępca głównego mechanika w sławnej widzewskiej „Anilanie”. Siedzimy w pustej sali konferencyjnej rozmawiając o aktualnych zagadnieniach zakładu, a przecież przylapuje się na tym, że coraz bardziej interesuje mnie sam rozmówca. Jest w jego biografii trzydziestolatka coś typowego, powszedniego, do czego przywykłem w reporterskich wędrowkach, ale jest też coś osobnego, własnego, nie mieszczącego się już tak bezpośrednio w metryce pokolenia, które reprezentuje.

Urodził się na krótko przed wybuchem wojny w dzielnicy bałuckiej jako syn niewykwalifikowanego robotnika, który do Łodzi przywędrował ze wsi. Ten rodowód jest zarazem kwalifikacją polityczną. Ojciec Szuberta widział spełnienie własnych aspiracji życiowych w wykształceniu syna na kotoniarza, bo dla niego samego był to zawód nieosiągalny. Spóźnił się, żeby wziąć udział w ogólnospołecznym awansie związanym z nową rzeczywistością w Polsce. Drogę do kariery, do zdobycia kwalifikacji, zamknęła mu choroba. Ale chciał, żeby jego Janek został kotoniarzem, „bo na kotonach praca jest intratna i człowiek na wszędzie poważanie”.

Jan Szubert desygnowany przez ojca na kotoniarza wcześniej poznał smak pracy dla chleba. W wieku czternastu lat zarabiał na siebie jako chłopiec na posyłki, a jednocześnie poznawał tajniki zawodu kotoniarza. Potem, gdy zmęczał, zatrudnił się dodatkowo na budowie u prywatnego majstra. Wracal do domu tak zmęczony, że zwał się po prostu z nóg i wierzony ojciec sam ścigał mu buty, stał łóżko. Skóra na dloniach stwardniała mu tak bardzo, że mógł bez obawy poparzenia wziąć do ręki rozżarzony do czerwoności węgiel. Słyszał syk palonego ciała, ale bólu nie czuł.

— Gdy teraz patrzę na moje wypieknione dłonie — mówi Jan Szubert — aż mi się wierzycie nie chce, że to są te same ręce.

— Ale jeszcze trudniejsza jest chyba identyfikacja z własnym pokoleniem, pierwszym pokoleniem ułatwionego startu w Polsce Ludowej. Rzucający murarskiego majstra i rezygnując dobrowolnie z kariery kotoniarzkiej przeszedł Jan Szubert do spółdzielczości pracy. Było to przedsiębiorstwo budowlane, a Szubert miał już wprawę w murarce. Był także spawaczem, był monterem. Nieoczekiwanie dla siebie został także sportowcem. Krzepa pozwoliła mu szybko osiągnąć dobre rezultaty w rozgrywkach zapasniczych, zwrócił na siebie uwagę trenerów i wzięto go do kadry narodowej. Kiedyś przypadkowo obejrzał mecz rugby, spodobał mu się ten męski sport i postanowił spróbować. Okazało się, że i w tej dyscyplinie ma talent, także jako rugbista został powołany do kadry narodowej.

— Jeszcze teraz — uśmiecha się Szubert — zakładam niekiedy dres. Tyle, żeby nie wyjść z wprawy, bo

szczyt kariery zawodniczej ma już bezpowrotnie za sobą. Nie była to zresztą kariera prosta, bo kiedy ujął się ambicją i przygadał coś klubowemu działaczowi, zawieszili go. Potem znowu wychodził na murawę boiska, ale najprawdziwszym meczem, który rozgrywał była szkoła, bo coś go ciągnęło do nauki. Podczas pracy w spółdzielczości uczęszczał do ogólniaka, ale na krótko przed uzyskaniem matury podjął ważną decyzję: rzuca ogólniak na rzecz technikum mechanicznego. Zmienił pracę zatrudniając się w zakładach remontowo-montażowych przemysłu lekkiego i zmienił jednocześnie szkołę. W nowej pracy wybrano go przewodniczącym ZMS.

Nauka w technikum na Bocznej przychodziła mu dość łatwo. Przydała się wiedza z ogólniaka i doświadczenie, które wyniósł z pracy na budowie. A kiedy uzyskał maturę wiedział już, że na tym nie poprzestanie. Kiedy zgłosił swą rezygnację z funkcji społecznych, aby kontynuować naukę na politechnice, nawet nikt się specjalnie nie dziwił, bo znany był ze swego uporu. Pro-

— jednocześnie nie można oderwać od biografii inżyniera Szuberta.

„Anilana”, choć ma wiele nowoczesnych wydziałów produkcyjnych, uchodzi za zakład trudny; trudny jak cała chemia. Podstawową kadre stanowią pracownicy z dużym, co najmniej dziesięcioletnim stażem zatrudnienia, którzy znają tu każdy kąt, a ściślej każdą uliczkę, bo teren zakładu jest bardzo rozległy. A’le istnieje też zjawisko znane dobrze nie tylko w przemyśle chemicznym, któremu na imię fluktuacja. Przez zakład przewija się rocznie blisko 2000 ludzi nie pogodzonych z sobą i z miejscem pracy, najczęściej młodych ludzi, którzy, zależnie od okoliczności, potrafią wytrwać tu kilka tygodni, rzadziej kilka miesięcy.

— Tych ludzi — mówi Szubert — trzeba zainteresować pracą i zatrudnić w zakładzie. Nie są to, wbrew temu, co się czasem sądzi, obiboki, ci młodzi w pewnym okresie potrzebują pomocy. Wiem dobrze, co oni myślą, bo kiedy pierwszy raz przestąpiłem bramę zakładu także czułem się zagubiony.

Komitet Zakładowy „Anilany” wie-

— Szubert zaczął się dogadywać. Był dobry punkt wyjścia: uchwała VII Plenum KC PZPR. Troska o młodzież jest przecież sprawą ogólnonarodową. Ale tę uchwałę, żeby nie pozostała pustym sloganem, trzeba przecież skonkretyzować, nadać jej żywych treści.

Szubert mówi: — Podczas nauki spotykały mnie różne przygody, w wyniku których pięciokrotnie musiałem zmieniać pracę. Jeśli nie spotykałem się z niechęcią, jak było najczęściej, to przynajmniej z absolutną obojętnością. Przychodząc do nowego zakładu wiedziałem doskonale, że najlepiej jest zataić fakt uczęszczania na studia. Na kształcących się patrzy w miejscach pracy podejrzliwie. „Anilana” stanowi pod tym względem szczęśliwy wyjątek, ale myślę, że wszędzie powinno się uczulić ludzi na sprawę zdobywania dodatkowych kwalifikacji przez pracowników, zapalić zielone światło dla awansu zawodowego poprzez wykształcenie. Tak rozumiem te sprawy i dlatego silnie angażuję mnie problemy nauki. Mam tu na przykład zasadniczą szkołę przyza-

— dych pracowników stała się obowiązkiem wszystkich.

Jak to wygląda w praktyce? Chodzi o to, żeby przełamać obojętność wobec młodych na stanowiskach pracy, aby zerwać z tradycją traktowania ich jak intruzów, którzy pohalają trochę, ale i tak miejsca dłużej nie zagrzeją. Toteż na oddziałach zostali wytypowani pracownicy odpowiedzialni za młodzież, którzy najczęściej dobrze wywiązują się ze swych obowiązków opiekunów, choć są oczywiście i tacy, co o swoich obowiązkach jakby zapomnieli. Zarządzenie dyrektora wprowadziło jeszcze innowację. Wszyscy pracownicy w okresie próbnym zatrudnieni są na zmianie dziennej, kiedy pracuje cała administracja i dozór techniczny.

Już te posunięcia przyniosły dobre rezultaty, a przecież to dopiero początek wdrażania programu. Staraniem Komisji Młodzieżowej organizowany jest w „Anilanie” klub „Rocznik”.

Co to znaczy? Szubert uśmiecha się.

— Może ta nazwa brzmi zbyt poważnie, ale sprawa jest bardzo poważna. Chodzi po prostu o objęcie opieką pracowników z kilkumiesięcznym stażem pracy. Cały program działalności klubowej chcemy nastawić na możliwość najczęstsze spotkania z młodymi, wyznaczyć stałe, cotygodniowe dzury w zakładowym klubie „Wilana”. Niech do nas przychodzą po pomoc, kiedy mają trudności.

W skład ciała opiekuńczego wszedł między innymi asystent dyrektora, przedstawiciel rady zakładowej, pracownicy działu kadr, przewodniczący KZ ZMS. Istnienie zespołu, jego prawa i obowiązki, poświadczyła dyrekcja „Anilany” specjalnym pismem okólnym.

— Bo widzi pan — uśmiecha się Szubert — stwierdzono, nie potrzeba do tego nawet specjalnych badań socjologicznych, że kto wytrzyma w zakładzie rok, ten na ogół tutaj zostaje. Rozmawiam często z tymi młodymi, widzą w naszym zakładzie spore możliwości zdobycia zawodu w dziedzinach technicznych, ale sprawa ich awansu była do niedawna jakby w zawieszaniu.

Inżynier Szubert już dwukrotnie zdobył tytuł mistrza-opiekuna młodzieży. Kiedy sięgał po ten laur po raz pierwszy, na oddziale remontowym „Anilany”, odcinek ten miał w zakładzie opinię trudnego. Poprzednik Szuberta nie mógł sobie poradzić z ludźmi i złożył rezygnację.

— Wchodząc do tego zespołu — mówi Szubert — musiałem na kogoś postawić i postawiłem na młodzież. Udało mi się tych młodych zorganizować, założyliśmy koło ZMS. Chcieli pracować, chętnie angażowali się w sprawy zakładu. Podejmowali czynny społeczny polegające na konkretnej pracy, nie było u nas papierkowej fikcji. Od tych młodych uczyła się na oddziale cała załoga. Ludzie poświęcałi dobrowolnie niedzielę i choć zakład mógł płacić nadgodziny, nie chcieli pieniędzy, tylko właśnie społecznie.

Na młodych postawił nie tylko Szubert, o którym mówią, że ma trochę więcej niż 18 lat, choć tak naprawdę skończył już 35. Na młodych postawiła cała „Anilana”.

— Teraz pan rozumie? Tak, zrozumiałem.

I TY ZOSTANIESZ STUDENTEM

szono go tylko, aby rok jeszcze przewodniczył w ZMS i to miał być jednocześnie sprawdzian czy wytrwa w swym postanowieniu kontynuowania nauki. Po rocznej przerwie Jan Szubert podjął studia wieczorowe na wydziale mechanicznym Politechniki Łódzkiej. Skończył je w terminie.

Jest takie gorzkie, sarkastyczne powiedzenie: nawet w najporządniejszej rodzinie trafia się student. Szubert miał się przekonać na własną skórę, co znaczy ten sarkazm.

— Podjęcie studiów — zastanawia się, bo chce ująć to najtrafniej — jakby zachwiało moją pozycję w zakładzie.

Tak było wszędzie, bo kiedy zobaczył tę odmianę nie czekając zmienił pracę, ale w nowym miejscu także patrzyli podejrzliwie na studenta. Tak było zawsze i na każdym roku studiów zmieniał zakład pracy, dopóki nie trafił do „Anilany”.

— Nie mogłem się nadziwić, bo chociaż wszyscy wiedzieli, że studiuje, odnoszono się do mnie z przychylnością.

Zatrudniony został na stanowisku starszego mistrza do spraw wentylacji. Był to w jego sytuacji życiowej znaczny awans, gdyż na równorzędnych stanowiskach pracowali inżynierowie. Może dlatego starał się z siebie dawać możliwie najwięcej, żeby dorównać doświadczeńszym zawodowo kolegom. Zauważono to i powierzano mu coraz bardziej odpowiedzialne funkcje. A kiedy uzyskał dyplom inżynierski wiedział już, że w „Anilanie” zostanie, bo polubił i ceni ten zakład.

— Gdy studiowałem — stwierdza inż. Szubert — wyrzucałem sobie nieraz brak logiki, że porwałem się na taki wysiłek. Ale z perspektywy czasu tamte zwątpienia wydają mi się coraz mniej uzasadnione. Trzeba tylko trafić na właściwych ludzi i takich ludzi znalazłem w „Anilanie”. Może dlatego, że to ogromny zakład produkcyjny.

Rozmawiamy więc o „Anilanie”, mówimy o tym, co jest celem mojej wizyty w zakładzie, a czego przecie-

— dział dobrze, co robi, kiedy powierzał Szubertowi obowiązki przewodniczącego Komisji Młodzieżowej w zakładzie.

— Macie, zdaje się, tylko trochę więcej niż 18 lat, to się z tymi młodymi dogadacie.

— kładową i jeśli słyszę, że ktoś chce uczyć się dalej, a natrafia na przeszkody, staram się mu pomóc.

— Ale od chwili, gdy Komisja Młodzieżowa wspólnie z dyrekcją opracowała program współpracy z młodzieżą w zakładzie, troska o mło-



WACŁAW WOŁOSEWICZ — „Rzut młotem” (rzeźba w glinie)

KONRAD FREIDLICH

SEKSAGRESJA



Dzientelmen nigdy nie wie, kiedy go może spotkać zawód. Przekonał się o tym dość doświadczone, który po bezwzględnej, wielomiesięcznej znajomości z dziewczyną, zaprosił ją w końcu na kolację do „Prząśniczki”. Po kolacji suto zakrapianej alkoholem — jakby napisał prawdziwy sprawozdawca sądowy — młody człowiek powiódł dziewczynę na pokój, specjalnie zresztą wynajęte na tę upojnie zapowiadającą się noc — jakbym napisał ja sam.

W tym momencie pragnę zauważyć, że mam niejakie opory przed kontynuacją tej opowieści. Jak powszechnie wiadomo gwałty mają bardzo złą prasę i pisanie w sposób frywolny o tych odrażających praktykach może być pożyteczne autorowi za czynim.

Do dalszego snucia tej opowieści skłania mnie jedynie świadomość, że wojny są przecież czymś o wiele straszniejszym od gwałtów, a mimo to kręci się o nich komedie filmowe. Poza tym na temat tych hańbiących czynów wyłano tyle słów potępienia, że ukazanie jednego gwałtu w krzywym zwierciadle satyry nie zrobi chyba większej dziury w niebie. Jeśli na moją dziewczynę, biegającą z pracem po ciemnych zaułkach, surowe wyroki sądów nie skutkują, może śmiech okazać się efektywniejszy.

Znam wypadek, kiedy dama w parku podmiejskim terroryzowana żyłką, trzykrotnie rozbiła się bezskutecznie na żądanie amatora wymuszonej miłości. Wreszcie zawstydzony

swą niemocą bohater odszedł z miejsca wydarzenia w przekonaniu, że to on padł ofiarą gwałtu.

Wiadomo, że tam, gdzie zaczyna się przemoc, kończy się przyjemność. Tam, gdzie zaczyna się przyjemność, kończy się gwałt.

Otóż młody człowiek, znalazłszy się sam na sam z dziewczyną w wynajętym doraźnie pokoju, zaczął zbliżać się pośpiesznie do celu swej przygody. Dziewczyna miała prawdopodobnie zupełnie inny pogląd na sytuację, w którą sama z własnej woli się wkomponowała. Zamiast spodziewanej uległości, chłopak natrafił na nieoczekiwany opór, jak swego czasu Szwedzi pod Częstochową.

Świetnie zapowiadający się wieczór rozwił się we mgłę złudzeń. Półroczna znajomość spuentowana w finale dość kosztowną kolacją okazała się z męskiego punktu widzenia inwestycją nierentowną. Utrudzony mało konstruktywnymi zabiegami miłosnymi młodzieńiec odwrócił się więc na drugi bok i zasnął. Jednakże nie dane mu było dłuższe spanie tej burzliwej nocy. Kobieta z wiadomych jej tylko powodów natychmiast go obudziła. Rozbudzony w środku nocy mężczyzna zrozumiał to jednoznacznie i ponowił swe energiczne starania. I tu znów natknął się na chłód, lód, mur, beton i spłż.

Oryginalna niewiasta nie pozwoliła mu na podstępne wyłudzenie usługi erotycznej. Zrezygnowany znów szybko za-

— snął. Wtedy ona znów go obudziła. On jak się budził, zaczynał z kolei znów przybierać kawalerską postawę i atakował nieustępliwie tę niecodzienną retdutę zmyłkowo kuszącej cnoty.

Zabawiając się w ten sposób, młodzi ludzie doczekali wschodu słońca. Rankiem dziewczyna prosto z hotelu udala się na milicję i powiadomiła organa śledcze, że partner jej nocnej eskapady usiłował ją zgwałcić.

Sąd w Łodzi wymierzył chłopakowi dwa lata odsiadki z tym, że wykonanie kary zawieszil. Sąd zakwalifikował bowiem nocne baraskowanie jako wymuszanie czynów lubieżnych, zwanych w pewnych okolicznościach przemocą nie niemłą. Rzeczywiście nie musiało to być takie niemile, jeśli dziewczyna chłopaka ciągle budziła.

Sąd wyższej instancji potraktował nocne igraszki młodej pary bardziej surowo, uznal, że to była próba gwałtu i skazał chłopaka na dwa lata pozbawienia wolności bez zawieszania. Wyrok się już uprawomocnił.

Nie muszę chyba dodawać, że ten felleton jest wyjątkowo ambitną pozycją w moim dorobku, gdyż obok funkcji rekreacyjno-rozwesalającej ma również szczerne cele pedagogiczne, które zresztą są widoczne jak na dłoni. Szczególnie dla pryszczytających młodzieńców, usiłujących realizować swój głód miłości bez zgody swych wybranków.

KAROL BADZIAK

▼ **KRYZYS** w stosunkach między Europą a Stanami Zjednoczonymi jest bardzo głęboki. Niektóre państwa europejskie — Zachodnie Niemcy, Anglia, Grecja, Turcja, Hiszpania (gdzie znajdują się amerykańskie bazy) — które odmówiły udostępnienia swych terytoriów dla „mostu powietrznego” na przetrzuci broni do Izraela, musiały wysłuchać gwałtownych wymówek Waszyngtonu. Ale faktycznie owe reprimendy były skierowane do całej Europy, która nie podtrzymała proizraelskiej polityki Stanów Zjednoczonych. Europejski zarządcy Stanów Zjednoczonych, że nie konsultowały z nimi swojej polityki, że postawiły na kartę pokój, na całym świecie. W każdym razie, wymówki te i bezczelność Amerykanów są dla Europejczyków ostrzeżeniem, że Stany Zjednoczone mają własne plany zreorganizowania stosunków międzyatlantyckich. W momencie, gdy „dziewiątka” chce ułożyć stosunki z USA „na podstawie równouprawnienia” i skonsolidowanego partnerstwa, Amerykanie demonstrują, że wcale nie mają zamiaru wyrzec się swojej wiodącej roli w Pakcie Atlantyckim. Ten epizod post factum usprawiedliwia wyjście Francji z NATO. („Echo” — Paryż).

▼ **KIEDY** Nixon powołał do stanu ostrej gotowości 2 miliony żołnierzy amerykańskich, stacjonujących w różnych punktach kuli ziemskiej, wielu Amerykanów zaczęło zadawać sobie pytanie: czy to zastraszenie wojną było konieczne? Sekretarz stanu, Henry Kissinger, powiedział, że to, iż decyzja Nixona nie spotkała się z poparciem jest symptomem dzisiejszych czasów. Wprost przeciwnie, zaczęło podejrzewać, że prezydent przejął palnę albo dlatego, że sprawa Watergate przyleciała jego zdolność wyciągnięcia trafnych wniosków, albo dlatego, że chciał odwrócić uwagę opinii publicznej od powikłań atry Watergate demonstracją balansowania na krawędzi. („Time” — Nowy Jork).

▼ **W WIELKIEJ** Brytanii wystąpiły trudności w podaży wołowy. W ciągu roku cena mięsa wzrosła o 20 procent. Angley jedzą więc mniej mięsa, a więcej drobiu. Od lipca 1954 r., tj. od momentu zakończenia racjonalowania, średnia konsumpcja mięsa na jednego mieszkańca nigdy nie była tak niska, jak w trzecim kwartale tego roku. Spadła ona o 13 proc. w stosunku do tego samego okresu ub. r. („L'Express” — Paryż).

▼ **W PRZEDDZIEN** wyboru Salvadora Allende na prezydenta Chile w 1970 roku, w politycznych kołach USA mówiono, iż dojdzie do władzy Allende stworzyłyby dla Stanów Zjednoczonych poważne problemy. CIA i władze „International Telephone and Telegraph Corporation” rozważały, jak nie dopuścić Allende do władzy. Rząd amerykański zaczął także używać swych wpływów, żeby pozbawić go możliwości otrzymania pożyczki z Międzynarodowego Banku Rozwoju. Poza tym Stany Zjednoczone utrzymywały ściśle kontakty z wojskowymi kołami Chile. W momencie przewrotu cztery amerykańskie okręty wzięły kurs na Chile, by uczestniczyć w operacjach chilijskiej floty wojennej. Zaprzeczając udziałowi CIA w przewrocie, Departament Stanu jednocześnie nie wyraził ubolewania ani z powodu zagarnięcia władzy przez juntę, ani z powodu śmierci Salvadora Allende. („Washington Post” — Waszyngton).

▼ **EKSPERCI** Włoskiej Kompanii Radiowo-Telewizyjnej zwracają uwagę, że wyobrażenia o człowieku i społeczeństwach, które każdego wieczoru podsuwa się milionom włoskich widzów są wypaczone, upiększone i bardzo dalekie od rzeczywistości. Wyniki badań w tej dziedzinie — owoc trudu socjologów, działaczy społecznych, architektów, lekarzy, nauczycieli, urzędników itd. itd. — już od lat leżą w szafkach zarządu kompanii jako „ściśle tajne”. Włoska TV boi się prawdy. A oto niektóre wyniki tych badań. Pracę chłopca i robotnika pokazuje się w tv niezwykle rzadko. Natomiast pracę umysłową przedstawia się jako atrybut warstwy uprzywilejowanej. Społeczeństwa zachodnie pokazuje się jako „kwitujące” i to wyłącznie z najlepszej strony, przy czym przeważają obrazy społeczeństwa amerykańskiego (wszystkie filmy tv kupuje się w USA). Włoskie społeczeństwo ukazuje się telewizjom jako „społeczeństwo w ogóle”, rzadko w przekroju miast, a już prawie nigdy w przekroju wsi. Nie łączy się trudnych problemów społeczeństwa włoskiego z ustrojem społecznym. Niezmiernie rzadko porusza się drażliwy problem budownictwa mieszkaniowego. Konflikty społeczne bardzo rzadko pojawiają się na ekranach tv. A i to w formie „zagłazdzonej”. („Europeo” — Rzym).

Ktoś nazwał Broadway „targowiskiem wulgarności”, „czarodziejskim barbarzyństwem”. Broadway jednych oczarowuje, innych odpycha. Jest to sztuczny twór w samym centrum ogromnego miasta, zabawka, która jak w kalejdoskopie, wciąż zmienia swą barwę.

Domy, specjalnie pozbawione okien, są tu dla niezliczonych reklam świetlnych. Po szarych murach gmachów, dachów, mniejszych i największych, nieustannie drgają jaskrawe neony, wspinają się w górę, to znów spadają aż do partierów, pelzają, mrugają, migocą. Z trzydziestometrowych butelek strzela świetlisty szampa, co dwie minuty „startuje” samolot...

Od końca XIX stulecia Broadway jest „ulicą spektakli” i do rytuału turysty należy zwiedzenie tej widowiskowej enklawy Nowego Jorku.

Istnieje tu inny, szczególny świat, teatr traktuje się tutaj nie z punktu widzenia sztuki, lecz przede wszystkim jako gałąź przemysłu, podobnie jak produkcja samochodowa czy włókiennicza. Nie na darmo świat teatralny nazywa siebie „show-businessem” — „przemysłem rozrywkowym”. Gdy przygotowuje się wystawienie nowego spektaklu, o sztuce, jako takiej, mówi się na samym końcu. Najważniejszą rolę w procesie produkcyjnym odgrywa nie reżyser, lecz producent. On wynajduje autorów, scenografów, zabiega o wydzierżawienie sali teatralnej i najmuje aktorów, ponieważ aktorzy dramatyczni w Stanach Zjednoczonych nie mają stałego miejsca zatrudnienia. Zarówno aktorów, jak i sale teatralne wynajmuje się na określony czas. Często lokale widowiskowe wynajmowane na przedstawienia teatralne nie mają niezbędnego wyposażenia technicznego. Producent sam się więc troszczy o oświetlenie i urządzenia akustyczne, o pokrycie kosztów za wynajem sali oraz transport. Właściciele teatrów są, w rzeczy samej, spekulantami nieruchomości i ustalają ceny według własnych kalkulacji. W XIX wieku zdarzało się jeszcze, że trupa teatralna czy producent miał własne pomieszczenia teatralne. Teraz wszystkie budynki teatralne na Broadwayu są własnością biznesmanów.

Bracia Schubertowie, którzy w początkach XX wieku przyjechali z Syrakuz do Nowego Jorku, pierwsi odkryli, że biznes teatralny jest złotym jabłkiem. Obrótni bracia utworzyli więc silną korporację handlową, która drogą skupowania starych gmachów oraz budowania nowych, przeznaczonych do przedstawień teatralnych, niemal całkowicie zmonopolizowała rynek „teatralnych nieruchomości” w Nowym Jorku oraz w szeregu innych miast Stanów Zjednoczonych. Dziś do firmy Schubertów i jej licznych filii należy na Broadwayu ponad połowa domów. Producent sam nie finansuje spe-

ktaklu. Wyszukuje tak zwanych „aniołów”. Lokowanie pieniędzy w przedstawienia teatralne jest sportem dla spekulantów i uprawiają go oni bynajmniej nie z miłości dla sztuki. „Anioł” lokuje pieniądze w nadziei na duży dochód: jeśli przedstawienie cieszy się powodzeniem i idzie na Broadwayu przez długi czas, odzyskuje on zainwestowany

kapitał plus procenty. Jeżeli szybko schodzi z afisza, to cały wkład oczywiście przepada. Ale, ze względu na ogromne koszty wystawienia sztuki, zdarza się, że nawet w wypadku, gdy teatr ma pełne komplety widzów, mogą minąć lata, nim przedstawienie zwróci zaangażowane środki.

W konsekwencji, jeśli sztuka jest „ryzykowna”, producent ma często trudności ze znalezieniem biznesmanów, którzy by chcieli zainwestować w nią pieniądze. Na przykład sztuka jednego ze znanych pisarzy amerykańskich, wyróznionego w 1965 roku nagrodą Pulitzera, czekała dwa lata, nim znalazło się wreszcie 36 „aniołów”, którzy włożyli niebiedne 40 tysięcy dolarów. Musicalom znanych kompozytorów powodzi się lepiej, ponieważ w wystawianiu ich są zainteresowane firmy zapisów muzycznych na taśmach magnetycznych. Biznesmani doświadczeni w sprawach teatru sami czytają rękopisy sztuk, które zamierzają finansować. Inni wynajmują specjalnych agen-

tów, którzy po zbadaniu koniunktury opiniują — warto, czy nie warto sięgnąć do portfela, by wystawić konkretną sztukę. Tak czy inaczej, grę na „rynku teatralnym” Broadwayu uważa się w Nowym Jorku za przedsięwzięcie mocno ryzykowne.

Krzywa kosztów przedstawienia idzie niepowstrzymanie w górę. W latach dwudziestych można było wystawić sztukę za 20—30 tysięcy dolarów, dziś potrzeba na to sum dziesięciokrotnie większych. W 1956 roku „Moja cudowna lady”, taka sobie sztuczka, kosztowała 401 tysięcy dolarów, co uważano za bardzo wysokie koszty. Trzydzieści lat później musical „Coco” kosztował już 900 tysięcy, a dziś nie należą do mówią, decyduje tylko jeden krytyk — z gazety „New York Times”. Nie podoba mu się sztuka a w dodatku jeśli i pozostali recenzenci wyrażają się o niej niezbyt pochlebnie — to znaczy, że jest skończona. Tego samego dnia producent wywieża w foyer teatralnym ogłoszenie, powiadamiające o natychmiastowym zwolnieniu całej trupy teatralnej.

Część działaczy teatru próbuje się uwolnić z pętów ekonomicznej zależności, zaciskających się z każdym dniem coraz mocniej i mocniej. Skala tego butu przeciwko duchowi rozkładu na Broadwayu jest szeroka i obejmuje ludzi teatru o niewielkich trup, aż po tak duże organizacje powstałe w ostatnich czasach, jak „Shakespeare Festival Theatre” Częścią buntu był także tzw. ruch „poza Broadwayem” tj. próby krzewienia sztuki teatralnej poza broadwayowskim „targowiskiem wulgarności”. Wspólną cechą słusznego protestu ludzi teatru w USA jest żądanie przywrócenia teatrowi należnej mu rangi sztuki, a nie włączanie go w ciasne ramy przemysłu „czystej rozrywki”.

Jednakże wszystko, co wychodzi poza ramy „rozrywki”, jest na Broadwayu skazane na śmierć. W konsekwencji jednym gatunkiem „sztuki” — „Wielkiego Broadwayu”, jego własnym tworem jest tzw. musical. Na zewnątrz Broadwayu kojarzy się właśnie z tą odmianą „przemysłu rozrywkowego”, którą osiągnęła wysoki stopień rzemieślniczego kunsztu. Jest to typowe, amerykańskie „show” ze śpiewem, tańcami, ze sztuczkami żonglerów i całym możliwym blęhtrem.

W rezultacie wielu Amerykanów sądzi, że „złoty wiek” dramaturgii pozostał daleko w tyle. „Z teatrem na Broadwayu już definitywnie skończono” — powiedziała pewna wybitna aktorka amerykańska. „Broadway — to morderca, wulgarna dżungla, w której nie sposób nawiązać twórczego kontaktu między sceną i publicznością” — oto opinia jednego ze znanych amerykańskich reżyserów, który miesiąc temu, pełen gorzkości, opuścił Nowy Jork. Dla jednego teatru broadwayowski jest „zorganizowanym szkaradziństwem”, dla innych „sztuka, na której biznesmani robią pieniądze”.

Broadway przestał odgrywać rolę stolicy amerykańskiego teatru. Wiele ludzi teatru opuszcza Nowy Jork, szuka dla siebie miejsca „poza Broadwayem”. Daleka amerykańska prowincja ma dziś bardziej interesujące i znaczące zamierzenia artystyczne, niż Broadway. Nowojorscy krytycy jeżdżą na premiery na prowincję. Ale jedno, niestety, pozostało bez zmian: żeby zapewnić przedstawieniu całkowite powodzenie, trzeba je, mimo wszystko, pokazać na Broadwayu. Tylko to, co „przejdzie” tu, można nazwać pełnym sukcesem i tylko to przyniesie dochód...

J. CZECH

TEATR NA BROADWAYU

kapitał plus procenty. Jeżeli szybko schodzi z afisza, to cały wkład oczywiście przepada. Ale, ze względu na ogromne koszty wystawienia sztuki, zdarza się, że nawet w wypadku, gdy teatr ma pełne komplety widzów, mogą minąć lata, nim przedstawienie zwróci zaangażowane środki.

W konsekwencji, jeśli sztuka jest „ryzykowna”, producent ma często trudności ze znalezieniem biznesmanów, którzy by chcieli zainwestować w nią pieniądze. Na przykład sztuka jednego ze znanych pisarzy amerykańskich, wyróznionego w 1965 roku nagrodą Pulitzera, czekała dwa lata, nim znalazło się wreszcie 36 „aniołów”, którzy włożyli niebiedne 40 tysięcy dolarów. Musicalom znanych kompozytorów powodzi się lepiej, ponieważ w wystawianiu ich są zainteresowane firmy zapisów muzycznych na taśmach magnetycznych. Biznesmani doświadczeni w sprawach teatru sami czytają rękopisy sztuk, które zamierzają finansować. Inni wynajmują specjalnych agen-

radkości nakłady sięgające miliona dolarów. Bieżące, codzienne wydatki związane z wystawieniem sztuki są tak wysokie, że w wypadku niepochlebnych głosów krytyki producentowi wygodniej jest od razu zdjąć sztukę z afisza.

O powodzeniu czy klęsce przedstawienia decyduje w ogromnym stopniu prasa. Wyjątek stanowią wyłącznie najbardziej znani autorzy lub „gwiazdy”, którzy nawet przy złej prasie mogą zagwarantować pełne komplety widzów na kilka miesięcy.

Przedtem, gdy w Nowym Jorku ukazywało się piętnaście wielkich pism codziennych, a rocznie wystawiano ponad dwieście sztuk teatralnych, krytyka odgrywała znacznie mniejszą rolę. Jednakże od czasu, gdy w Nowym Jorku pozostały za ledwie trzy duże gazety codzienne zamieszczające recenzje, tylko trzech krytyków gazetowych i trzech recenzentów telewizyjnych decyduje o losach spektaklu natychmiast po zakończeniu przedstawienia. A ściślej

Opera w Sydney

Niezbyt wieloma osiągnięciami w dziedzinie kultury mogła się dotąd pochwycić Australia. Melba? Ktoż dziś nazwę oznaczającą przysmak — waniliowe lody z owocami kompotowymi lub konfiturami, przybrane bitą śmietaną — kojarzy z nazwiskiem śpiewaczki światowej sławy Australijki Nellie Melba (właściwe nazwisko: Helen Mitchell-Armstrong) zmarłej w roku 1931. A na jej to cześć ów deser został tak nazwany.

Ostatnio Australia zwróciła na siebie uwagę tak w dziedzinie literatury jak i architektury. Australijczyk Patrick White otrzymał nagrodę Nobla za twórczość pisarską, zaś gmach opery w Sydney budzi powszechną uwagę nie tylko swą oryginalną architekturą, ale i kontrowersjami jakie budowała ta wzbudzała i wzbudza.

„100-milionowe nieporozumienie czy ósmy cud świata” — pod takim tytułem pisał korespondent „Zycia Warszawy” z Sydney o tamtejszej operze. „Najpiękniejsza rzeźba świata” — głosi hamburski „Die Zeit”, „Najpiękniejsza i najbardziej dramatyczna budowla świata” — nazwał operę w Sydney któryś z publicystów angielskich.

Gmach opery w Sydney wzniesiony na półwyspie wznoszącym się w port, widac z daleka i ze wszystkich stron. Budowla skonstruowana w formie obrzytnych, skomplikowanych ustawionych dziesięciu muszli, przykuwa wzrok bielą i niezwykłością kompozycji architektonicznej. Niektórym muszle te kojarzą się nieodparcie z wydętymi żagłami jachtu, innym przypominają skrzydła leżącej mewy, jeszcze inni dostrzegają w układzie płaszczyzn napierające i wżajemnie łamiące się morskie fale. Projektant gmachu, złobywca pierwszej nagrody na międzynarodowym konkursie w roku 1956, duński architekt Joern Utzon czerpał natchnienie do swego pomysłu układając — lupiny pomarańcz.

Dlaczego jednak dzieło to wywołuje kontrowersje? Budowa miała trwać lat pięć i kosztować 7 milionów dolarów. Trwała lat czterdzieści i kosztowała 110 milionów dolarów.

Od samego niemal początku budowy natrafiano na trudności. Obliczenia kom-

puterów wykazały już po założeniu fundamentów, że nie wytrzymały one ciężaru całości konstrukcji, trzeba było więc zakładać nowe fundamenty. Urządzano zbiórki i loterie, aby zdobyć potrzebne na to pieniądze. Joern Utzon zrażony trudnościami ucieka z Australii.

Jakie wady ma gmach opery w Sydney? Nie pomyślano o parkingu. Sala operowa ma wprawdzie głęboko, ale wąską scenę, 12 metrów, pomieszczenie dla muzyków obliczone zaledwie na 65 osób. Miejsce dla widzów jest 1550 co od razu stwarza nieopłacalność wystawiania wielkich oper. Gmach może jednak służyć jako centrum muzyczne i baletowe. Sala koncertowa posiada 2.700 miejsc dla słuchaczy i zaopatrzona jest w największe na świecie organy o 9.600 piszczałkach.

DRUGA PAWŁOWA?

Anna P. Pawłowa zmarła w roku 1931, była światowej sławy tancerką. Obecnie wśród miłośników tańca i baletu zwraca na siebie uwagę Inna Pawłowa, młodzianka Nadieżda. Ostatnio zdobyła ona pierwsze miejsce na Międzynarodowym Konkursie Tancerzy Baletowych, organizowanym co cztery lata w Moskwie. Nadieżda Pawłowa ma lat 17. Pochodzi z Czuwaskiej ASSR. Zainteresowanie tańcem przejawiała wcześniej należąc jeszcze jako dziecko do zespołu baletowego w Pałacu Kultury w Czobuksari, stolicy Republiki. Wybitnie utalentowana dziewczynka zainteresowała się szkołą baletową w Permie, gdzie Nadieżda kształciła się dalej. Jeszcze przed ukończeniem szkoły otrzymała pierwszą nagrodę na Wszechzwiązkowym Konkursie Tancerzy Baletowych w Moskwie.

SYRENKA PICASSA

W jednym z ostatnich numerów paryskiego dziennika „L'Humanité” zobaczyć można reprodukcję rysunku syrenki warszawskiej autorstwa Picassa. Podpis: „La sirene de Varsovie 1948”. Tekst nad i pod rysunkiem anonuje album

W kręgu kultury

wydawnictwa „L'Humanité” zawierający planse reprodukcji rysunków Picassa, jakie tworzył on dla prasy lub organizacji demokratycznych. Rysunków jest 145 w tym 16 kolorowych.

Picasso narysował symbol Warszawy, będąc w roku 1948 na Kongresie Intelektualistów dla Pokoju we Wrocławiu. Wiedział wtedy m. in. Warszawę. Podczas oglądania odbudowy jednej z dzielnic w pewnym momencie wielki malarz wskoczył niespodziewanie na jakiś zwal gruzów i w najwyższym kieszni wegiel do rysowania, szybkimi ruchami naszkicował na ceglach warszawska syrenka. Trzyma ona w prawej dłoni młotek jako symbol pracy i odbudowy. Rysunek Picassa wykonany na cegle nie zachował

się. Szczęśliwie zachowała się fotografia.

„FLET CZARODZIEJSKI” NA FILMIE

Słynny reżyser filmowy Szwed Ingmar Bergman od wiosny przyszłego roku zacznie realizację filmu na podstawie opery Mozarta „Flet czarodziejski”. Film został zamówiony przez szwedzką telewizję. Nakręcanie będzie się odbywać na terenie parku i zamku w Drottningholm — szwedzkim Wersalu.

Opr. J. SKROSZKIEWICZ





NAGRODA DLA AUSTRALIJCZYKA

Już od lat siedemdziesięciu Komitet Nagrody Nobla przyznaje doroczną nagrodę najwybitniejszemu pisarzowi... Tak by można w stylu oficjalnym napisać, ale zaraz opadają nas wątpliwości. Nagroda Nobla bowiem od dawna już budzi wątpliwości i coraz głośniejsze są głosy, że decyzje Komitetu bardziej są wypadkową różnych geograficzno-politycznych kalkulacji niż uznaniem czyjejś twórczości literackiej. Nigdy jeszcze Australijczyk nie otrzymał literackiej Nagrody Nobla, więc trzeba go było uhonorować, bowiem ambicją Fundacji jest, aby w panieonie „najwybitniejszych” znaleźli się przedstawiciele całego świata. Tak więc „wysokie jury” bardziej wnikiwie studiują listę dotychczasowych laureatów niż książki kandydatów. Z wszelkimi zresztą nagrodami w dziedzinie sztuki tak bywa, że wyrażają one aktualne tendencje,

mydło i gąsienicę. Tak jest — i nie ma co krytykować Szwedów, bowiem jest to sytuacja naturalna. To sam fakt nagrody podnosi rangę pisarza — daje mu popularność, nakładę i znaczenie. Nie zawsze natomiast nagradza się artystę, który ową popularność i znaczenie posiada. Pamiętajmy, że przed wojną jakąś firma wydawnicza opublikowała serię „Laureatów Nagrody Nobla”. Niedawno natknąłem się na te tomiska w bibliotece. Jest to klasyczny zbiór literackich „cegieł”. Gdyby im odjąć stempel Nagrody Nobla, zostałyby próchno. Takie są losy dorocznych ocen na terenie sztuki. Spośród pierwszych dziesięciu laureatów literackich Nobla tylko trzech zostało w pamięci współczesnych: Prudhomme, Kipling i Stenkiwicz. Ten ostatni zresztą dostał Nobla za swoją... najslabszą książkę „Quo vadis”. Pozostała siódemka to takie fajemnicze

nazwiska, jak na przykład: Mommsen, Carducci, Eucken, Heyse... Żeby było śmieszniej, żył wówczas jeszcze tacy wielcy pisarze, jak Emil Zola, Lew Tołstoj, Antoni Czechow. Podobnie i w tym roku. Nobla dostał Australijczyk White, którego „Wiwisekja” w polskim przekładzie ma... wyższy nakład, niż wydanie oryginalne. Podobnie było w roku 1959; kiedy nagrodzono małego znanego i przeciętnego poety włoskiego... A na nagrodę nadal czekała tacy pisarze, jak choćby Graham Greene, czy André Malraux. Nie sądzę zresztą, żeby ich w najbliższej przyszłości uhonorowano. Na pewno istnieje jakiś pisarz Eskimos, a ten rejon świata jeszcze nie został „zaliczony” przez Akademię Szwedzką. Na pewno pisze w afrykańskim buszu (po angielsku lub po francusku) jakiś poeta Trzeciego Świata... Duży wybór mają też Szwedzi w Chinach, gdzie w czasie „rewolucji kulturalnej” powstał masowy ruch pisania poematów... Nie wiem, czy w komisji Nagród Nobla zasiadają wciąż te same osoby, ale chyba nie. Raz bowiem podejmują decyzje złośliwe, a nawet — wstyd powiedzieć — prowokacyjne — a raz humorystyczne. Mało kto pewno pamięta, że w roku 1953 nagrodą literacką Nobla wyróżniono... Winstona Churchilla. Tak jest — byłego premiera Anglii!

Churchill, jak każdy polityk (oczywiście każdy intyguentny polityk) — pisał sobie pamiętniki i takie różne rozprawy bez większego znaczenia, co stwierdził nawet ludzki mu oddani. Dostał za nie literackiego Nobla. Gdyby był Nobeł „malarzski”, też by go Churchill mógł otrzymać, bo amatorsko uprawiał, bodaj, akwarele... Złośliwością natomiast było przyznanie Nobla Borysowi Pasternakowi za przeciętną i politycznie dwuznaczną książkę. Książka ta była niczym w porównaniu z prawdziwie wielką i piękną twórczością poetyckiego Pasternaka. Ale komitet Nagród Nobla nie zauważył Pasternaka — poety i Pasternaka — tłumacza (poezji angielskiej głównie), lecz zauważył tę blachę i niedobrą książkę. Tak to jest z nagrodami. Jak w znanym przeboju Jerzego Polomskiego o dziewczynach, który można sparafrazować: „bo z nagrodami nie wie, oj, nie wie się — czy dobrze jest, czy może jest całkiem źle...” Dlatego nagrodę dla Australijczyka przyjmijmy spokojnie. A po przeczytaniu „Wiwisekji” nie dziwmy się. Historia Nagród Nobla notuje — jak z powyższego wynika — jeszcze dziwniejsze wypadki.

WIDOK



FRYZURY

ANDRZEJ GRUN



A sprawa mimo to jest głupia. Nie dziwiło mnie wcale, że: „Gromkimi brawami nagrodzono moment, kiedy schodzącego po zdobywcy swojej drugiej bramki Grzegorza Lato — serdecznie uściskał trener Kazimierz Górski, składając mu gratulacje”.

SPORT

Wszak trener Kazimierz Górski musi dbać o dobrą formę swoich kadrowiczów, choć ten piękny gest nie był może zbyt elegancki wobec drużyny LKS, która przecież również trenuje. I dlatego nie dziwiłam się, że po meczu tłumaczył się tylko jego współpracownik — Paweł Kowalski:

„Dzisiejszą środę zaliczam — powiedział „Dziennikowi Łódzkiemu” — do najczarniejszych dni w swojej dotychczasowej karierze trenerskiej. Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla żadnego z występujących na boisku piłkarzy LKS. Cały zespół zagrał absolutnie poniżej swoich możliwości. LKS zaprezentował na boisku w Mielcu wręcz niski poziom, którego nawet nie mogę porównać z poziomem klasy okręgowej. Mogliśmy przegrać nawet w dwucyfrowym stosunku. Bo mieleczanie mieli jeszcze kilka znakomitych okazji do podwyższenia rezultatu”.
Kazimierz Górski wypowiedział się na temat meczu dopiero na treningu piłkarskiej drużyny LKS: „Może mieć drużyna zły dzień... Tylko jeśli przegrać, to w jakimś

stylu. Nie dać sobie narzucić bez cienia protestu (rozumianego jako chęć wyrażona grą przeciwstawienia czoła) stylu gry przeciwnika. A tak niestety było w środę w Mielcu”.
A nie dziwiłam się temu wszystkiemu może dlatego, że przeczytałam w „Przeglądzie Sportowym” z 29 listopada 73 r. niewielką notatkę, która być może uszła uwagi łódzkiej kibiców: „Jak poinformował przedstawiciel PAF nowy kierownik szkolenia w PZPN — Marek Janota — przygotowaniom naszym piłkarzy do finałowego turnieju MŚW-74 kierować będzie nadal Kazimierz Górski. Od stycznia przyszłego roku spełniać będzie on wyłącznie funkcje trenera pierwszej reprezentacji, a nie jak dotychczas, trenera LKS i reprezentacji równocześnie”.

I słusznie. Tylko powstaje pytanie: co dalej z jedenastką LKS? Chciałabym w tym miejscu przypomnieć burzliwą dyskusję sprzed mniej więcej roku, kiedy to K. Górski przechodził do LKS. Podkreślano wówczas, że to Paweł Kowalski wyprowadził drużynę LKS z impasu.
Oj, głupia sprawa.

BOGDA MADEJ



BYĆ NOWOCZESNYM

Słusznie i trafnie zauważył czwartkowy dodatek „Życia Warszawy”, że „chyba żadne inne słowo nie powtarza się dziś tak często i w oficjalnych wystąpieniach, i w dyskusjach zawodowych, i w prywatnych rozmowach, jak nowoczesność i pochodne: nowoczesny, nowoczesność, modernizacja, modernizować”. Przypadek chciał, że ów dodatek też ma to słowo w tytule, nazywa się on bowiem „Życie i Nowoczesność”.

Myślę, że sprawa wygląda jeszcze gorzej. Dziś, aby kogoś sponiewierać, obrazić, pognać i ostatecznie osądzić wystarczy powiedzieć: — Jesteś nienowoczesny! Ale co to znaczy: być nowoczesnym? Dowcipów rysunkowych nie powinno się opisywać, ale nie mam innej rady. Widziałem niedawno taki rysunek: Na przystanku kolejki podmiejskiej stoi grupa urzędników. Długie włosy, brody i wąsy. Ubrania modne, krata, szerokie klapy, błyszczące guziki. I dwóch ubranych tradycyjnie — czarne kapelusze, czarne marynarki, czarne krawaty, czarne teki. I jeden z tych dwóch mówi do drugiego: — Czuję się jak zupełny idiota. Ale czy modny strój czyni człowieka nowoczesnym? Myślę nawet, że modne poglądy też nie wystarczą. Nowoczesność powinna być bowiem dążeniem do zmieniania istniejącego stanu na lepszy, dążeniem do przełamywania schematów i nawyków, które wprowadziła utrwalała życie, ale nie służy jego ulepszeniu. Nowoczesność — to szukanie takich rozwiązań, kształtowanie takich postaw, które ułatwiłyby nam osiągnięcie zamierzonego celu. Niezależnie od tego, czy będzie to cel strategiczny, czy też taktyczny, mający ten cel strategiczny przybliżony. Nowoczesność — w myśleniu przynajmniej — jest przełamaniem tradycjonalizmu, ale nie jest unicestwieniem tradycji, powinna się bowiem na niej opierać, wybierać z niej to, co najwartościowsze, co pozwala działać skutecznie, co właśnie toruje drogę nowoczesności.

Nadużywanie słowa „nowoczesność” stało się bardzo modne. Po części wynika to z tego, że mamy tak wiele do odrobienia i musimy szukać innych rozwiązań, ale czy są one zawsze nowoczesne? A po części wynika to z tego, co już zasygnalizowałem — nikt nie chce być posiadaczem o anachronizm. Lepiej więc widać „modny strój”, przykre bezmyślność frazesem niż narazić się na epitet „nienowoczesnego”. Ale zmiana etykiety nie jest równoważna ze zmianą towaru. Zwykliśmy wszystko, co nowe nazywać nowoczesnym. Istotnie, bardzo często w stosunku do stanu, jaki zmieniamy — jest to nowoczesność, ale czy jest nią w stosunku do średniego poziomu światowego? Z tym jest różnie. Dopiero praktyka tej „nowoczesności” pokazuje, co jest co. Dlatego oświadczenie: „nowoczesność” używając prostszego słowa „nowe”, a termin „nowoczesny” zarezerwowane dla rzeczy naprawdę nowoczesnych. Inaczej nie ukazałby się w „Dzienniku Łódzkim” tytuł: „To jest prawdziwa nowoczesność!”. Ta prawdziwa nowoczesność ma zapanować w nowej tkance Zakładów Przemysłu Bawelnianego im. Armii Ludowej w Łodzi, którą wznosi się ze stalowych elementów zakupionych w Szwecji, a do której wstawili się szwajcarskie maszyny Sulzera.

„Oczywiście — pisze „Dziennik Łódzki” — nowa hala wyposażona będzie w klimatyzację oraz zaplecze socjalne stosowne dla tak nowoczesnego obiektu i wysoko kwalifikowanej załogi”.

Dla mnie oświadczenie „nowoczesny obiekt” jest nie do pomysłenia bez klimatyzacji i zaplecza socjalnego. Ale miewaliśmy już różne nowoczesności, a wśród nich i takie, przy których zapominano o sprawach i rzeczach podstawowych. I dlatego warto jeszcze raz przypomnieć, że nowoczesność między innymi polega i na tym, że czyni ludziom życie i pracę łatwiejszą. I jeszcze to, że nie zawsze importowany sprzęt gwarantuje tę prawdziwą nowoczesność, bo zdarzało się nam kupować nowe maszyny, do których zapominano kupić uzupełniające wyposażenie albo części zamienne. Jeśli nowoczesność ma nam ułatwić życie, to chciałabym łódzkim budowlanym zaproponować czytanie od czasu do czasu „Życia Warszawy”, a szczególnie cyklu publikacji pt. „Ogólnopolski bank doświadczeń miast”. Właśnie z tej lektury dowiedziałem się, że we Wrocławiu usprawniono dokumentację domów, które przeznaczone są do tynkowania. Całą dokumentację zastępuje fotografia domu, próbki kolorów, rysunek elewacji i kosztorys. Zrezygnowano również placów dla brygad kładących elewacje, w zależności od zasięgu pracy, jaką mają wykonać. Pomysł dobry — jak pisze „Życie Warszawy” — i zdaje egzamin w praktyce. Ale ile trzeba było „zażartych bojów”, jakie trzeba było „opory przełamywać”, aby ta prosta metoda mogła być zrealizowana. Dzięki jednak uporowi ludzi z inicjatywą i myślących nowoczesnie, udało się opory przełamać. Ale tylko we Wrocławiu, gdzie opracowano również metodę kładzenia tynków nawet przy 10 stopniach mrozu. Tajemniczy z tego nie czynili. Podzielił się doświadczeniami z innymi i wiedza, co się z tym stało dalej. Po zapoznaniu się z wrocławską metodą i płynącymi stąd korzyściami „Życie Warszawy” przestało się dziwić, dlaczego „w stolicy mamy jeszcze tyle nieotynkowanych domów”.

W Łodzi mamy ich też sporo, ale jestem pewny, że z wrocławskich doświadczeń nie skorzystamy, nawet gdyby były najlepsze i najnowocześniejsze. Bo i po co?

RODAK



GLUPIA SPRAWA

„To jest właśnie urok piłki nożnej: Siał Mielec wygrała z LKS 7:0. Napisałem urok, ponieważ nie mieszkam w Łodzi, ani w Mielcu i napisałbym tak samo, gdyby wynik był odwrotny. Co pewien czas piłka dostarcza takich jak w Mielcu rozstrzygnięć, jak gdyby się bronila przed racjonalnością”.

Rzeczywiście łatwo było komentatorowi „Trybuny Ludu” — A. Łozowskiemu snuć sobie takie spokojne refleksje po przegranej meczu LKS w Mielcu. W gorzej sytuacji byli jednak dziennikarze Łódzcy. W „Expressie Ilustrowanym” czytamy na przykład: „... z mieszanyml uczuciami przyjmujemy do wiadomości fakty, kiedy to ktoś z koleżytki — dostrzegając niepomysłny dla zespołu finał walki — opuszcza pole gry. Jest to swoista forma dezercji, a co najmniej asekuracji. Przykro, że dotyczy to nie raz sportowców wybitnych, na których w ciężkich, dramatycznych chwilach szczególnie liczy drużyna”.

Takie zejście z placu gry tłumaczymy się z reguły zdenerwowaniem, chociaż najczęściej jest to odczytywane, jako demonstracja pogardy dla klubskiej postawy koleżków.

A swoją drogą, gdyby wszyscy zaczęli powoływać się na słabe nerwy, to kto zostałby na boisku?”.

Głupia sprawa, ale właśnie w Łodzi nie wypadła o niedawnym bohaterze z Wembley, którego

wspomnienia się niedawno drukowało, pisać krytycznie, z nazwiskiem. Ja na szczęście jestem w innej sytuacji i mogę powiedzieć o kogo chodzi. O Jana Tomaszewskiego, który po 27 minutach gry w Mielcu, przy stanie 3:0 dla Stali, zwołał się z bramki. I chociaż nie lubię argumentów typu: „a nie mówilam”, to chciałem przypomnieć, to co niedawno pisałem: Nie przesadzajmy w świętowaniu i fetowaniu sukcesów. Przesada w takich sytuacjach powoduje, że później sami nie mamy dystansu do porażek, a i zawodnik chwilowe załamanie traktuje jako klęskę. I dlatego trudno nie zgodzić się z warszawskim „Expressem Wieczornym”, który tupując swoją dziesiątkę najlepszych zawodników do plebscytu „Przeglądu Sportowego” tak napisał:

„Bliski sukces był między innymi bramkarz J. Tomaszewski. Doszliśmy jednak do wniosku, że jeden kapitałny mecz z Anglią na Wembley to jeszcze zbyt mało, aby znalazł się on w gronie „najlepszych z najlepszych”.

„Wysoka porażka LKS w Mielcu nie pozwoliła jednak łódzkiej kibicom dostrzec uroku piłki nożnej. Wprawdzie ta porażka nie zmieniła miejsca LKS w ligowej tabeli, ale za to pozwoliła mieleckiej Stali wywindować się na wicelidera tejże tabeli. A LKS zrehabilitował się w oczach swoich sympatyków, wygrywając z warszawską Gwardią 1:0. I nie ma nad czym rozdzierać szat.



SPRAWY POLSKIE

Zastanawiając się nad okolicznościami i warunkami odzyskania przez Polskę niepodległości po I Wojnie Światowej zwracamy przede wszystkim uwagę na znaczenie, jakie dla odrodzenia się niepodległości Polaków miała Wielka Rewolucja Październikowa. Nie sposób jednak odmówić racji spostrzeżeniu, że dla wszechstronnej oceny jej wpływu na sprawę odbudowy państwa polskiego niezbędna jest znajomość stosunku do sprawy polskiej tych sił politycznych, które rewolucja zmiołła z areny politycznej. Dopiero bowiem skrupulatne zestawienie stanowisk i kładące na formułowanie w pełni uzasadnionych ocen. Zakładanie jest tym ważniejsze, że zwłaszcza w dawniejszej literaturze polskiej, zarówno w piśmiennictwie państwowym jak i w opracowaniach historycznych dotyczących czasów I Wojny Światowej znalazło się sporo niepodległości i nieuzasadnionych sądów, a nawet tak użyteczny zbiór dokumentów, jak K. W. Kumanieckiego „Odbudowa państwowości polskiej”, wydany w 1924 r., pomija szereg źródeł o istotnym znaczeniu (jak np. Oredzie „Do narodu polskiego” Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich z 14 marca 1917 r., w którym znalaz-

ło się zasadniczo określenie stosunku rewolucyjnej Rosji do polskich dążeń narodowych). Książka Wiesławy Toporowicz „Sprawa polska w polityce rosyjskiej 1914-1917” (PWN 1973) podejmuje więc problematykę węższą, o istotnym znaczeniu dla zrozumienia dziejowych korzeni naszej współczesności, a jednocześnie zbyt rzadko atakowaną przez nasze dziejopisarstwo. Teoretycznie — podkreśla historię — nawet i carska Rosja rozporządzała „swobodą wyboru” między dwoma zasadniczo odmiennymi sposobami rozwiązania kwestii polskiej, mianowicie metodą polityki wychodzącej na przeciw dążeniom Polaków bądź kładącej im tamę. Nie ulega też wątpliwości — podkreśla W. Toporowicz — że „z punktu widzenia rzeczywistych interesów Polski i Rosji najlepszym rozwiązaniem byłoby ułożenie wzajemnych stosunków na zasadzie przyjaźni i współpracy przy uznanie uzasadnionych aspiracji narodowych Polaków”. W warunkach panowania carskiej władzy były to jednak rozwiązania niemożliwe. Dostojnie żądne zgrupowań politycznych, na których opierał się carat, nie myślało o zrozumieniu tych prostych prawd i nie wysuwało programu samostanowienia.

„Rosyjskie partie i stronnictwa, zarówno wielkiej burżuazji handlowo-przemysłowej — Związek 17 października, jak też dwa wpływe stronnictwa reprezentujące interesy wielkiego obszarnictwa i monarchistyczne szlachty — Związek Narodu Rosyjskiego i Rada Zjednoczonej Szlachty — były współautorami wielkomocarstwowej, nacjonalistycznej polityki wewnętrznej i zewnętrznej caratu”.

Ich przedstawiciele zajmowali niejednokrotnie jeszcze bardziej „nieprzejednane” stanowisko w stosunku do nierosyjskich narodowości imperium, niż niektórzy członkowie carskiego rządu, którzy byliby skłonni pójść na niewielkie ustępstwa za cenę wygrania polskiego atutu dla celów wojny.

„Ale dopóki te partie nadawały ton polityce wewnętrznej i zagranicznej Rosji, dopóki istniał carat, żaden nawet najbardziej dalekowzroczny polityk nie był w stanie przeformować stanowiska propolskiego jako oficjalnej polityki Rosji. Nawet w najbardziej „liberalnych” projektach Sazonowa nie uwzględniano prawa narodu polskiego do niepodległego bytu państwowego”.

Jest niezmiernie charakterystyczne, że w porównaniu ze stanowiskiem kół rządowych oraz tych sił politycznych, które stanowiły podporę caratu, niczym niemal nie różniła się postawa, jaką w sprawie polskiej zajmowała czołowa burżuazyjna partia opozycyjna — kadeci. W tych okolicznościach trudno nie uznać, że orientacja polityczna polskiego obozu narodowej demokracji, tak chętnie odwołująca się do hasła realizmu, była po prostu nierealistyczna.

Sprawa niepodległości Polski znalazła szczególnie silny oddźwięk

wiek wśród rosyjskiej lewicy społecznej. Prawda, że dwie partie z obozu t.zw. rewolucyjnej demokracji, mianowicie eserowcy i mieszczeniacy, programowo uznawały prawo narodu polskiego do samookreślenia, ale ich uwikłania w popieranie polityki wojennej powodowało, podobnie jak w przypadku wielu partii socjaldemokratycznych na Zachodzie, że skłaniały się do stanowiska oportunistycznego. Po zwycięstwie rewolucji marcowej sytuacja ułożyła się tak, że „obok władzy ludu czyli Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich istniała druga, burżuazyjna: Rząd Tymczasowy, kontynuator stałej polityki wojny i zaborów, który nie miał jednoznacznego stanowiska w kwestii polskiej”. W tych warunkach stawało się coraz bardziej widoczne, że jedynie te siły, które zmierzały do dalszych socjalistycznych przeobrażeń społeczno-politycznych, na których czele stała partia kierowana przez Lenina, mogły się stać trwałą oporą dla narodowych aspiracji Polaków.

„Im silniejsza była pozycja tej partii im większe miała ona wpływy i poparcie mas ludowych, tym bliższa była perspektywa realizacji planów zgodnych z aspiracjami narodu polskiego.

Rozumiały to wielotysięczne rzesze Polaków, przebywających w Rosji. Obawy przed powrotem władzy sił dotąd carat popierających i stnowiących jego podporę, a więc zdecydowanie antypolskich, należały do ważkich czynników, które m. in. zadecydowały o wstąpieniu się tysięcy naszych rodaków do walki po stronie partii Lenina w październiku — listopadzie 1917 r.”.

LEKTOR



ART BUCHWALD

Art Buchwald można nazwać „Wielkim Kpiarzem”. Ameryki. Czytając jego felietony nasuwa się nam nieodparte wrażenie, że jednak nie jest z poczuciem humoru Amerykanem — zarówno tych zwykłych, jak i tych w różnych szczeblach władzy. Dodajmy bowiem, że Art Buchwald uprawia swoją kpinę z urzędem Ameryki i z funkcjonowaniem władzy Ameryki nie w jakiejś tam prowincjonalnej gazecie. Jego felietony bardzo szeroko funkcjonują społecznie — drukuje je bowiem, bodaj kilkadziesiąt gazet amerykańskich. Szeroki rezonans społeczny felietonistyki Art Buchwalda wystawia Amerykanom dobre świadectwo. Sam Buchwald wystawia Ameryce świadectwo nieco gorsze.

Zresztą posłuchajcie, co pisze Buchwald: „Zwiedzanie miast amerykańskich jest rzeczą absolutnie bezpieczną pod warunkiem, że nie wychodzi się na ulicę po zmierzchu...” Albo: „Amerykanie są łagodnym narodem, który brzydzi się gwałtem. Jedyne miejsce, gdzie można co wieczór zeknąć się z przemocą, to kino i telewizja. Pokażą ci w niej nie tylko zabijanie ludzi, ale także palenie wsi, rany, jakie odnoszą nasi żołnierze, torturowanie naszych wrogów — słowem wszystko, czego dusza zapragnie...”

„Zwiedzając Amerykę” to książka pełna kpin, ale także goryczy i sarkazmu.

Art Buchwald „Zwiedzając Amerykę”, Wyd. Czytelnik, cena 20 zł.

OPOWIEŚCI KURIERÓW

„Opowieści tatrzańskich kurierów” jest książka, która robiła karierę. Długo było głuchym na temat owego ślaka, bezprecedensowego w dziejach ostatniej wojny — książka Filipa przynosi nam dokumentalne relacje z tego cichego frontu. Był to front niezwykły — szło na nim o to właśnie, aby nie pała żaden strzał, aby ta szczytna walka na inteligencję, sprytną, odważną odbywała się w ciszy.

Długo było cicho na temat szlaków tatrzańskich kurierów. A przecież to dzięki nim funkcjonowała regularna sieć przesyłki z Polski na Węgry i dalej... Z Polski szły dzięki kurierom setki żołnierzy do jednostek wojskowych formujących się na Zachodzie — do Polski niesiono broń, materiały konspiracyjne, prasę, pieniądze...

Nie ma w tej książce fikcji literackiej — wszystkie osoby, fakty, zdarzenia są prawdziwe. Alfons Filar — przyznany z Al w czasie wojny — napisał rzetelną, dokumentalną książkę o polskiej konspiracji. „Intencją moją — pisze — jest ocalić od zapomnienia to, co pozostało w pamięci z lat walki z hitlerowskim najezdźcą”.

Alfons Filar „Opowieści tatrzańskich kurierów”, Wyd. Książka i Wiedza, cena 23 zł.

UCZENI W ANEGDOCIE

Nawet najbardziej poważne problemy można popularyzować w sposób lekki i zajmujący. Pięknie zrealizowało to zadanie wydawnictwo „Wiedza Powszechna”. W wielokrotnie wznawianej książce „Dawna Polska w anegdocie”. Z tej samej serii wydano również ciekawy tom „Uczni w anegdocie” opracowany przez W. Golembowicza.

Co prawda autor przypomina w wstępie słowa Curie Skłodowskiej, że „w nauce nie powinniśmy się interesować ludźmi, lecz faktami”, ale przecież nieobojętne jest dla nas, jacy byli owi ludzie tworzący określone — bardzo nieraz fundamentalne — fakty naukowe. Taka właśnie książka, pełna setek anegdot, na pewno w jakiś sposób zbliży nam owych luminarzy nauki — pokazuje ich niejako w bamboszach. Uczni nie przez to nie tracą, nauka nie przez to nie traci, czytelnik zyskuje ciekawą, lekką książkę, poszerzającą poznanie świata o nowe elementy.

W. Golembowicz „Uczni w anegdocie”, Wyd. Wiedza Powszechna, cena 35 zł.

ZALOTNICA NIEBIESKA

Magdalena Samozwaniec nie doczekała już wydania tej książki — a przypuszczam, że dorówna ona popularnością „Marii i Magdalenie”. Podobnie jak w tamtej głośnej i wielokrotnie wznawianej książce — i tu eksplouuje Magdalena Samozwaniec legendę swojej genetycznej siostry Marii Jasnorskiej-Pawlikowskiej. Nie piszę tego z przekasem — nikt inny jak właśnie Samozwaniec ma do takiej książki prawo. Zwłaszcza dziś widzimy to tym jasniej, kiedy już nie stało ani najbliższych spadkobierców tradycji słynnej rodziny Kossaków, ani świadków tamtych lat.

Kto wie — może ta książka właśnie będzie najważniejszą w puściźnie literackiej Magdaleny Samozwaniec? Może właśnie dlatego, że jest bardziej dokumentalna od „Marii i Magdaleny”, że przynosi na przykład po raz pierwszy publikowane wcześniej wiersze Jasnorskiej, że prezentuje po raz pierwszy nieznaną fotografię i nieznaną sprawę z archiwum rodziny Kossaków?

Niezależnie jednak od tego jak przyszłość oceni ostatnią książkę Magdaleny Samozwaniec, jest to z całą pewnością pełna uroku i ciepła opowieść o pięknej epoce, pięknych wierszach i bardzo pięknym rodzie polskich artystów.

Magdalena Samozwaniec „Zalotnica niebieska”, Wyd. Literackie, cena 40 zł.

WARSZAWA GIERYMSKIEGO

Kolejna książka w „Bibliotece Syrenki” jest prawdziwie piękna. Połowę jej stanowią rysunki i drzeworyty Aleksandra Gierymskiego, zebrane pieczołowicie przez L. B. Grzeniewskiego z łamów „Kiosów”, „Tygodnika Powszechnego”, „Tygodnika Ilustrowanego”, „Wędrowca”. Równie 60 obrazów XIX-wiecznej Warszawy.

Ludwik B. Grzeniewski, wytrawny „warszawianista”, kto wie, czy dziś nie najwybitniejszy — przyrzadził tę książkę ciekawie, wydawnictwo zadbało o elegancję i poziom poligraficzny wysokiej próby. Mamy więc erudycyjne „Słowo o Gierymskim”, pisane — erudycyjnie — bo niecałe 20 stron tekstu wsparte aż 39 przypisami, o dziwo! Tekstowi Grzeniewskiego ów naukowy sztafaż nie zaszkodził. Mamy urokliwą mini-antologię „Notatki z obu stron Wisły”, Niby nie, materia tej książki ułotna i przyczynkarska, a jakaż to jednak piękna i potrzebna książka! Dlatego śmiało mogę oświadczać kierownikowi Wydawnictwa Łódzkiego, że należy zrezygnować z książek przyczynkarskich. Wystarczy sięgnąć na półkę z książkami, aby trafić na pozycje przyczynkarskie, których rola i rezonans społeczny jest większy od tzw. dzieł zasadniczych.

Ludwik B. Grzeniewski „Warszawa Aleksandra Gierymskiego”, PIW, cena 40 zł.

FILM W KAFKOWSKIM DUCHU

Dwa nowe włoskie filmy, którym trudno odmówić walorów społecznego zaangażowania oraz obiektywnej dobrej, filmowej roboty i które, nie potrafię się temu wrażeń oprzeć, wydają się za długie, bo są po prostu nieco nudzące: „AUDIENCIA” Marco Ferreriego i „URLOP W WIĘZIENIU” Nanni Loy. Oba te filmy dotyczą biurokratycznego paraliżu, lecz tylko jeden z nich można uważać za utwór interesujący, gdyż atakuje tę sferę życia społecznego, która wydaje się jeszcze zależną od tych, którzy nim sterują. Mowa tu o filmie „Urlop w więzieniu”, podejmującym problem zdegenerowanego systemu państwowo-prawnego, stosunków panujących we włoskim wymiarze sprawiedliwości, w sądach, więzieniach i policji.

Ferrerri, prowadzi swego bohatera przez labirynt watykańskiej hierarchii. Ubawę jednak koncen-

tuje głównie na obyczajowości środowiska watykańskiego, owej urzędniczej hierarchii, której żywotność daleki jest przypisywanym jej oficjalnie idealom moralnym. Niewątpliwie w filmie Ferreriego, dominuje zamierzenie główne — ukazanie faktu wymknięcia się władzy Kościoła, kontroli jego członków, niemożności dialogu jednostki z tą władzą. Jednakże temperament reżysera, znanego szycydera, programowe obrazoburczy („Wózek”, „Ape Regina”, „Wielkie żarcie”), każe mu operować przede wszystkim zjadliwym humorem, akcentującym obyczajową monstrualność ukazanego świata i poruszających się w nim marionetek, przecinających drogę upartego człowieka do tego, do którego dotrzeć mu nie pozwolą, do pałacu.

Akcentowany w filmie Ferreriego absurd sytuacji obejmuje również głównego bohatera tych tragicomicznych zdarzeń, jego prostost-

ki, czyli ludzkie życzenie rozmowy z papieżem wydaje się w ukazanym świecie po prostu anormalne. Wiadomo, iż Marco Ferreri nosił się kiedyś z zamiarem adaptacji „Zamku” Franca Kafki. Wydaje się, że „Audycja” stała się próbą tej możliwości, gdyż kafkowski duch w filmie tym unosi się niewątpliwie, ujawnia się nie tylko w zarysowanej sytuacji zamknięcia i absurd, ale i w towarzyszącej bohaterowi intelektualnej świadomości jego kafkowskiej sytuacji.

Marco Ferreri sam nie wie, czy film jego, jak i film w ogóle, może mieć swój udział w przeobrażeniu i naprawie świata. Świadomość niemożności ma więc w „Audycji” swe jakby dwa plany. Nanni Loy, reżyser „Urlopu w więzieniu” jeszcze wierzy w społeczne posłannictwo kina i pewnie dlatego podjął temat, który w ostatniej włoskiej produkcji należy do wielce popularnych.

Aprobatywnie rzecz widząc, nie można nie przyznać, że Włosi lubią wojować z samymi sobą, czyli z tym, co w życiu społeczno-obyczajowym i politycznym ich drażni. Lapią więc wiatr w żagle i na aktualnie wybrany temat tworzą niezliczoną ilość

wariacji. „Urlop w więzieniu” reklamuje się oficjalnie jako dramat społeczny, choć film zrealizowany w czysto komediowej konwencji, o czym zdecydował zresztą głównie wybór aktora, kreującego rolę „porządnego obywatela”, uwikłanego w policyjno-więzienną pomyłkę — jest nim Alberto Sordi. Tym razem reklama prawdę mówi, gdyż komediowa konwencja celom Innego rzędu niż czyste rozrywek tu służy. Wydaje się przy tym, że nie tylko o atak na państwowo-prawniczy system reżyserowi chodzi. Z całości opowiadania i sposobów jego obrazowania wyłania się gorzka prawda o anonimowości, bezradności i bezsilności jednostki w sprawie przeciw zorganizowanym na naszym etapie cywilizacji życiu społecznemu. Gdyby więc się uprzeć, to i w tym filmie wspomniany dziś kafkowski duch się unosi. Wracając zaś do pierwszego dziś wyrażonego wrażenia muszę je z pewnym żalem powtórzyć — przy wszystkich zaletach oba te filmy pewnego piętna nigdy pozbyć się nie potrafiły.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA WOBEC KULTURY

Być może w żadnej dziedzinie życia społecznego nie znajdujemy tak rażącej dysproporcji pomiędzy żywotnym rozwojem zjawiska a niezorganizowaniem towarzyszącej mu refleksji badawczej jak w przypadku telewizji. Badania nad telewizją, jakkolwiek już od pewnego czasu prowadzone, ciągle jeszcze nie mogą wyostać się na szersze wody z etapu pionierskich rozpoznań. Wiedza o telewizji rozwija się fragmentarycznie i nie dopracowała się jeszcze jednolitego frontu badań o jasno określonych celach praktycznych. Nacisk na praktyczne konsekwencje jest w tym wypadku niezmiernie istotny, albowiem wydaje się, że aktualna sytuacja społeczna, w której funkcjonuje telewizja przypomina — do złudzenia położenie ucznia czarno-książki. Trudno nam przewidzieć jaki mają przebieg i efekt procesy formowania świadomości milionów ludzi siedzących przed małymi ekranami. Często trywając się w czasie oglądania telewizyjnego programu, odnośne wrażenie, że ludzium, którzy programowo odpowiadają za telewizję po prostu brakuje wyobraźni, że nie zdają oni sobie sprawy z ogromu społecznej odpowie-

dzialności związanej z masowym oddziaływaniem telewizji. Może dlatego właśnie program telewizyjny często kojarzy się z parafrazą akademicką ku czci. Z drugiej strony jednak przyznać trzeba, że w pełni uświadomiona wizja kilkumilionowego audytorium jest zdolna sparażać twórcze myślenie i działanie. Sek w tym, że istota rzeczy nie polega wcale na byskach przerwanej wyobraźni, lecz na realnym myśleniu o telewizji w kategoriach makrosocjalnych, myśleniu, które będzie oparte na dokładnej wiedzy o regulach sprzężenia pomiędzy telewizją a społeczeństwem. Póki jednak docekalny jest rzetelnych badań inspiracyjnych, nie możemy mieć nadziei, że w najbliższym czasie, natchniony wizjoner z Kanady, który w oparciu o rozwój elektronicznych technik przekazu formułuje nową antropologiczną koncepcję człowieka, jego efektywnymi pomysłami żywią się niekiedy nasi publicyści, którzy poruszają się w zamkniętym kręgu hipotez, byskotliwych obserwacji i ogólnikowych sądów.

Z tego podsumowania, które pomija zaawansowane, a tu mniej

interesujące badania nad naturą estetyczną teatru TV, mogłoby wynikać, że lokowane pracownika działające Ośrodka Badania Opinii Publicznej i Studiów Programowych przy Komitecie ds. Radia i Telewizji, „Biuletyn Radiowo-Telewizyjny” publikowany przez ten ośrodek przynosi obszerny wykład statystycznych badań nad upodobaniami telewizyjnej widowni. Nie sposób jednak oprzeć się wrażeniu, że analizy te wykonane z wielkim nakładem sił prowadzą w stronę wąskich intuicyjnie podjętych kategorii, a więc oceny artystycznej. Cenne jako wstępne sprzyjające ilościowego uczestnictwa w telewizyjnej kulturze, dalekie są wszakże od wyczerpania problemu. Niewiele bowiem wynika z faktu, że np. 21 proc. kobiet z wykształceniem podstawowym, robotnic, w wieku 35-45 lat ogląda niedzielny teatr TV. Jeżeli nie spróbujemy jednocześnie określić stopnia motywacji aktywności zawartych w nim wzorów kulturowych, ich funkcji w tej grupie społecznej. Tymczasem właśnie nowa strategia badań nad kulturą przesuwającą akcent z problematyki ilościowej na kwestię znaczenia wytworów kultury i ich wpływu na świadomość odbiorcy. Tylko na tej drodze może powstać możliwość dokładnego zbadania programu telewizyjnej i jej społecznego rezonansu: poprzez znaczeniową analizę emitowanych treści i określenie ich roli w kształtowaniu ludzkich postaw i zachowań.

Kiedy urzędem w księgarskim oknie nowo wydaną książkę znanego socjologa Marcina Czerwi-

skiego pod wiele obelgającym tytułem „Telewizja wobec kultury” (Warszawa 1973) ogarnęła mnie poznaczona nadzieja, tym bardziej uzasadniona, że autor jest jednym z zagorzałych rzeczników zamarkowanej powyżej nowej metodologii kulturoznawczej. Jednakże zawartość tej pozycji wydanej przez Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe nie potwierdziła moich oczekiwań. Zamiast spodziewanego nakreślenia planu badań kulturowych funkcji TV znalazłem naukowy esej traktujący o jej specyfice wobec kultury dyktowany serdeczną troską o prawidłowy rozwój tego mass-medium w naszych warunkach. Materiał refleksyjny hojnie rozroczony w tej książce, która — według skromnych słów autora — stanowi „przeгляд czy zapis bardzo niekompletny jako obraz spraw wiążących się z telewizją” organizuje się w dwa przekraczające się kręgi problemowe. „Telewizja wobec kultury” jest fascynująca rozprawa współczesnego intelektualisty, który z pełnym dystansem poznawczym dostrzega i ocenia blask i niedzę najmilszej Muzy. Ale ta książka kreślona tak niezobowiązująco a zarazem w tonie praktycznej przestrogi czeka na swoje naukowe rozwinięcie. Jest wstępem do dzieła na temat: ludzka osobowość wobec telewizji, która Marcina Czerwińskiego wien na-

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

POEZJA POTRZEBA SZACUNKU

„POEZJA — MÓWIE, POLSKA — MYŚLĘ”. Taki tytuł nosi wydana w „ISKRA” antologia wierszy poetów rosyjskich poświęconych Polsce i polskimi tematami.

Temat polski przejawia się w poezji rosyjskiej A radzieckiej bardzo bogato i często — począwszy od XIX wieku. Pionierami byli tu WASYLI TREDIAKOWSKI autor napisanej w 1734 r. „ODY TRIUMFALNEJ NA KAPITULACJĘ MIASTA GDAŃSKA” i autor wierszy o Bolesławie Krzywoustym — MICHAŁ MURAWIOW. Bardzo wczesnie rozpoczęło w Rosji prace nad przekładami poezji polskiej, wczesnie też pojawiły się w literaturze rosyjskiej wiersze na tematy polskich. Pisał je najwybitniejszy poeci — PUSZKIN, TIUTCZEW, NIEKRASOW, FET i inni.

Antologia „ISKIER”, którą zebrał WŁODZIMIERZ PRICHODKO, a opracował ANDRZEJ DRAWICZ, nie sięga po te klasyczne i powszechnie znane przykłady. Autorzy ograniczyli się wyłącznie do wierszy poetów rosyjskich — (choć temat polski jest żywy i w poezji innych narodów Związku Radzieckiego) i to tylko wierszy powstałych w XX wieku. Jest to cezurą dość surowa, tym bardziej, że w ogromnej doprawdy masie rosyjskich wierszy „POLSKICH” trzeba było jeszcze dokonać selekcji — odrzucić wszystkie teksty okazjonalne, utwory pisane ze szczerzego serca, lecz mnieju dane artystycznie; musiało też ująć uwadze autorów wiele wierszy poetów mniej znanych. Wszystko to jest zrozumiałe, łatwo wytłumaczalne wobec samego faktu ukazania się tej — pionierskiej właściwie — publikacji.

Dobrze się też stało, że w wyborze nie pominięto tekstów, które — nam, Polakom, mogły się z różnych względów wydawać kontrowersyjne — myślę tu o wierszach MANDELSZTAMA, MAJAKOWSKIEGO, BALMONTA czy ANTOKOLSKIEGO. Przyjęto zasadę nadrzędną: ważna jest ta fascynacja Polską przejawiająca się w wierszach, ważna jest przyjaźń narodów, w imię zaś tej przyjaźni wario i należy wspomnieć o różnicy zdań. Dla czytelnika mniej obeznanego z

tematem imponujący będzie zestaw nazwisk. Obok poetów, o których już wspominałem, wiersze na tematy polskie pisali ALEKSANDER BŁOK, SERGIJ JESIENIN, WALERIJ BRUSOW, NIKOLAJ ASIEJEW, IWAN BUNIN, BORIS PASTERNAK, MARINA CWIETAJEWA — a jest to przecież galeria poetów najwybitniejszych, których dokonania stanowią o wielkości poezji rosyjskiej.

Antologia „POEZJA — MÓWIE, POLSKA — MYŚLĘ” jest wydana bardzo starannie i poprzedza ją wstęp autora koncepcji, radzieckiego poety PRICHODKI, kończą noty o autorach i rodzaj posłowa ANDRZEJA DRAWICZA. Zadbano nawet o to, aby czytelnik mógł skonfrontować tekst polski z rosyjskim oryginałem. I tu właśnie zaczyna się nieszczeście. Bo antologia zawiera świetnie lub dobrze przekłady JASTRUNA, POLAKA, LITWINIUKA, SŁOBODNIKA i DRAWICZA; są w niej teksty tłumaczone tak wzorowo, jak to zrobiła ANNA KAMIENSKA z wierszem WISSARIONA SAJANOWA.

Jest czerkez Wislu most pontonowy, Nad nim struflaszja swiel zielonyj; W nieposzifimyj tiszinie, Ogniom zakata opallonj, Tiepiej on czasno snitsa mnie. ANNA KAMIENSKA — tłumaczy: Jest most przez Wisłę na pontonach, Nad nim się sączy blask zielony, W przedziwnej ciszy i we mgłach, Ogłem zachodu opalony, Często powraca w moich snach...

I jest to przekład bezpretensjonalny, wierny i piękny. Ale o-bok tego znajdujemy w antologii prawdziwe cuda translatorskie. Oto MICHAŁ MATUSOWSKI napisał wiersz pt. „AKACJE WARSZAWY” składający się z 9 zwrotek, przekład zaś Seweryna Polaka leczy sobie tych zwrotek 11! Czyżby tłumacz tak się zachwyił tematem, że dopisał poecie osiem wersetów? Znając klasę tłumacza nie posiadają go o to,

wolę uważać, że to jest błąd wydawniczy. Ale obudzone podejrzanie każe mi uważniej przyglądać się wierszom. I oto co znajduję.

DAWID SAMOJŁOW pisze tak: Nie prziszlo? pobywał? mnie turistom W gorodach zarubieźnych dierzaw. My stajali w rozbitoj Warszawiej, Awtomaty niewolno przizaw. Wiktor Worosyżski zaś tłumaczy:

Nie zwiadałem Gandawy i Parmy, Nie bywałem w Bois de Boulogne. Pośgód ruin Warszawy koszmarnych Stałem mocno seiskajac broń.

Mniejsza o to, że „MY” w tłumaczeniu zamienia się w „JA”, mniejsza, że w oryginale mówi się o zburzonej Warszawie, w przekładzie zaś przybiera to kształt „RUIN WARSZAWY KOSZMARNYCH”. Ale skąd ta Gandawa i Parma, skąd Bois de Boulogne? Stąd, że trzeba było zrymować? Przepraszam, ale to zbyt grube przestępstwo translatorskie.

Następny kwiatek, przekład wiersza EMILA JANWARIEWA, którego w trzecie tworzęm dokonał MICHAŁ NOSTRZYK.

Oryginał: Możiet, chwatił kollegia? K czemu prodożenie? Mnie Jazyk twój dajetśja, cziem bolieje, Uzielieje, Nie gozi mienia bolszie, Nie spraszaj, Siłszkom bolien ja Polszej, Przepraszam. Przekład: Może starczy? Czego jeszcz szukać? Tu, im dalej, tym cięższa nauka. Już nie pytał, nie tłumacz nie. Zostaw. Moim bólem serdeczym jest Polska.

Nie mówiąc nie o rytmice i o stopie wiersza, trzeba powiedzieć, że i tak jest to tłumaczenie przez omówienie. Tłumacz nie wysiłł się nawet na wierność poeic. „SŁISZKOM BOLIEN JA POLSZEJ” — można było przełożyć — „JESTEM CHORY NA POLSKĘ”. I zachować to ostatnie, polskie przepraszam. Po to było po polsku napisane, żeby po polsku dźwięczało. A polski tłumacz w ogóle to eliminuje. Swojego rodzaju rekordzista

KRONIKA

jest WITOLD DĄBROWSKI. Ten renomowany przekładozwa sądzi widocznie, że wszystko co wychodzi spod jego pióra jest genialne. Inaczej bowiem nie umiem sobie wyjaśnić całkowitego braku szacunku do tłumaczonych przez siebie wierszy. Dąbrowski woli po prostu pisać swoje wiersze na cudze tematy. Można i tak, tylko, że to nie ma nic wspólnego z piękną i trudną sztuką przekładu.

Bulat Okudżawa pisze o Warszawie: „ONA PROPITANA LIUBOWU I MUKAMI OBOZZIENIA” — (ona jest przepelniona miłością i wypalona mekami), a Dąbrowski przekłada „TO MIASTO PEŁNE JEST MIŁOŚCI. ZWARZONE SKWARNYM TCHNIENIEM MAK”. Okudżawa: „KAK SIGZMONDA POKŁON NIEŁOWKU, KAK PANI STRANNAJA ODN”. a Dąbrowski „JAK TEN NIEZREČNY URŁON WAZY, JAK TEJ DZIEWIĘCZYNY DRZE- NIE RAK”. Zgumnił (choć to ten sam) zamienił się na Waze, a pewna dziwna pani zamieniła się w dziewiętnę, której drzą ruce. Zapewne od czytania takich przekładów. Dalej idzie już Dąbrowskiemu coraz gładziej. W „POZEGNANIU Z Polską Okudżawa pisze:

„KOGDA TRUBACZ NAD KRAKOWEM WÓZNOŠITSJA S TRUBOJ, CHWATAJU JA ZA SABLIN S NADIEZDOJU W GLAZACH”.

A Dąbrowski wspiera go poetyckim przekładem: GDY TRĘBACZ NAD KRAKOWEM ZNOW W HEJNAŁE STROMYM WZŁATA, Z NADZIEJĄ SZRZEĞĘ UCHEM I SZABLĄ SZUKA DŁOŃ”.

Tam trębacz z trąbką wznosi się nad Krakowem, a tu wzięta na hejnał i to w dodatku stromym, tam Okudżawa ma nadzieję w oczach, a tu z nadzieją strzyje uchem. Zamiana oczu na ucho i przypisanie poecie końskiej czynności „SZRZEĞENIA UCHEM” — są to bezsprzecznie błądzenia wyjątkowe.

Najważniejszym celem książki było ukazanie naszym czytelnikom, ile przyjaźni i szacunku okazują Polsce rosyjscy poeci. Polscy zaś tłumacze — chwala Bogu, że tylko niektórzy — odnieśli się do tych tekstów bez szacunku. To smutne.

MAREK WAWRZKIEWICZ

MAGAZYNEK

NASZ PROSTY POSTULAT

Niby wszystko jest w porządku. Kupujemy bilecki, siadamy wygodnie i patrzymy w ekran. Godzina, dwie... Czasem zaśmiejemy się, bywa, że zapłaczymy, cukierka z papierka odwinie my i dalej nie, tylko w ten ekran patrzymy. Cóż za męcząca bierność! A na ekranie wielkie rzeczy. Ułani śpiewają, małe zwierzątka biegają, ktoś żonę przed smiercią zdradził... Dłużej tak nie można! Skończmy z biernym gapieniem się! Czynnie uczestnicmy w wizualności obezwania ruchu.

Oto nasz postulat. Nie podoba nam się film — trudno, siedmy cicho. Podoba trochę — nućmy pod nosem. I im bardziej się on nam podoba, niech to nuciemy staje się głośniejsze, śmieszniejsze i pełniejsze. Chór naszych głosów niech rozbrzmiewa przy arcydziele, o które niestety trudno.

A twórca filmu, reżyser, tylko uszko do Jęzwa kina przyłoży i już wiedział będzie: że czy dobrze dzieło zrobił!

Obywatele! Nućmy w kinie! Oczywiście nućmy z lekkim przyśmuczeniem oka.

DRAŻLIWY PROBLEM

Na coraz częściej powtarzające się pytanie: ile zarabia na zachodzie reżyser filmowy, odpowiadamy bez ogródek. Reżyser filmowy na zachodzie zarabia dosyć dużo (w funtach, fran-

kach czy dolarach), ale też często mu to nie wystarcza.

SOCJOLOGIA A FILM

Whilkiwe badania socjologów pozwoliły ostatnio na publikowanie ciekawego spostrzeżenia. Otoż człowiek w zaraniu swego



dzieciństwa w ogóle nie interesuje się filmem. Ale nie koniec na tym, a właściwie koniec, bo tenże człowiek w kresu swojej drogi życiowej, również zwykle przestaje interesować się filmem, ale już z innych przyczyn. Zuchy z tych socjologów!

Z OSTATNIEJ CHWILI

Na festiwalu w Ohio dobrze wypadł nasz film oświatowy pt. „Wyrób kaszanki”. Szczególnie

korzystne wrażenie wywarła na międzynarodowym jury ostatnia scena filmu, w której kaszanecka smaży się już na patelce. Podobno nie żalowano cebulki...

CIEKAWY POMYSŁY

Ciekawe pomysły miewa Jan Rubiś ze wsi Niedkrężno. Otoż zaprasza on rokrocznie do stołu wigilijnego jakiegoś ubożego reżysera filmowego. Gdy już nakarmi go i napoi, wychodzą razem do obory, by posłuchać sobie, jak zwierzęta gadają i o czym. Połobno reżyserowi bardzo to potem pomaga w pracy.

KURS DLA SCENARZYSTÓW ODCINEK III

Dziś zajmiemy się analizą nadesłanych pomysłów. Pan J. P. z Gniezna pisze nam, iż pomimo wysiłku nie ma żadnego pomysłu na scenariusz filmowy. Ale nie martwi się tym, bowiem uważa, że taki brak pomysłów to też już pomysł.

Prosimy pana J. P. o nierozgłaszanie swojego pomysłu publicznie, gdyż może to zaszkodzić naszej sprawie.

„Współczesna” z Gdańska ma pomysł ze zgaszaniem światła w pokoju. Potem proponuje obserwować, co z tego wyniknie. Sama chętnie dla dobra sprawy posiedzi z kimś po ciemku.

Nie łapiemy pomysłu „Współczesnej”. Zapraszamy wieczorem do redakcji w celu wyjaśnienia sprawy ciemnego pokoju.

Na liczne listy z pomysłami nadesłanymi z USA odpowiadamy zbiorowo: Nie interesują nas Wasze pomysły! Macie własne Hollywood, odczepcie się wreszcie od nas!

Za tydzień nowa porcja rzetelnej wiedzy.

O MOWO POLSKA!

Druki i pisma urzędowe od lat stanowią obiekt żartów. Językowa wynalazczość biur zdaje się nie mieć miary, rodzą się nowe słowa, zwroty — te osławione „upiory dzienne”, „uharczerzowienia” itp. Bardzo często językowi wynalazcy zasłaniają się potężnymi tomami Słownika Języka Polskiego, co świadczy może o erudycji, ale nie dowodzi jeszcze wrażliwości językowej. Nie wszystkie bowiem słowa ze skarbniicy polszczyzny nadają się do publicznej prezentacji.

A zresztą — można zbudować zdanie z absolutnie poprawnych słów i będzie to zdanie kalekie lub bełkotliwe.

Oto przykład z wypowiedzi telewizyjnej wysokiego urzędnika handlowego: „Stosunki, w których obaj partnerzy są zaspokojeni...” Znany, rzecz prosta, takie stosunki, powiedziano to poprawną polszczyzną, a jednak coś tu nie gra. To stwierdzenie śmieszy nieco... Jeśli już o stosunkach. Mówi w TV ktoś inny: „Postawiliśmy na stosunki międzyludzkie...” Idea słusna, ale po co tak bełkotliwie mówić o sprawach prostych, o dobrej atmosferze, koleżeńskości? Albo: „perspektywy widzimy pozytywne i zapewniają one...” Perspektywy mogą być szerokie, wyraźne, otwarte... Pozytywna perspektywa to zbitka słów raczej bez sensu.

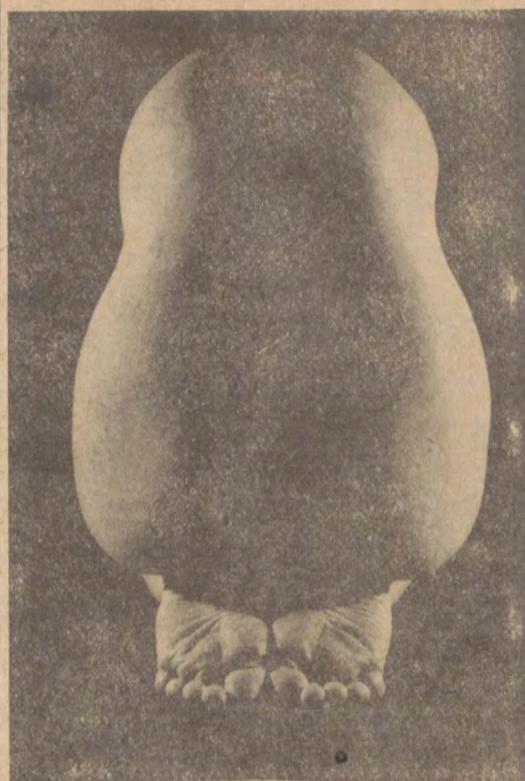
Podobnie jak inne gronkie oświadczenia: „Klimat nam zaowocował...”, albo „zaakcentowaliśmy zagadnienie”. Wiedomo o co chodzi — bardzo nas cieszy, że komuś tam dobrze idzie, ale naprawdę klimat nie owocuje, a zagadnienie lepiej podkreślić niż akcentować, choć to pozornie znaczy to samo.

Dlaczego ludzie nie chcą mówić po prostu? Dlaczego prywatnie mówią, że „wpadli pod samochód”, a oficjalnie, że „ulegli wypadkowi”? A dlaczego — skoro już używają dwóch stylów mowy — lubią w telewizji Małcużyńskiego, a nie lubią Męclewskiego? Przecież Małcużyński mówi polszczyzną zwykłą, prywatną, swobodną — Męclewski natomiast żargonem oficjalnych komunikatów.

To bardzo dziwne, bo przecież większość tych, którzy nie lubią stylu komunikatów, posadzonych przed kamerą, mówi stylem komunikatów. Ludzie wyłączają telewizory, kiedy leci niedzielne kazanie pt. „Kryteria”, bardzo mądre przecież, ale niesłychanie nadeję. Ludzie nie wyłączają telewizorów, kiedy jakąją się przed kamerami Rolicki, Kozicki i spółka z „Panoramą”.

Widać spragnieni jesteśmy prostoty i kameralności.

J. WIL.



POWIĘKSZENIA

DYSKUSJA

Ostatnio „Małe Wydanie GR” rozpoczęło dyskusję n. t. — wchodzić do autobusu przednimi czy tylnymi drzwiami. I tu nas zaskoczyło. Sprawa jest bowiem jasna i od lat określona obowiązującymi przepisami.

„Małemu Wydaniu GR” proponujemy następujący temat w tym stylu — przechodźcie czy nie przechodźcie przy czerwonym świetle.

SPOSÓB NA POPULARNOŚĆ

Najpopularniejszą publicystką ostatnich tygodni jest niejaka Anna Bojarska z „Walki Młodych”. Nazwisko tej pani znalazło się natychmiast na łamach „Polityki”, „Literatury” i „Życia Literackiego”.

Sposób na popularność jest prosty. Pani B. obejrzała dwie książki wybitnego psychiatry, niezjącego już prof. Antoniego Kepińskiego i o jednej z nich napisała mocno niemiłą recenzję. Czegoż tam nie było! I poziom umysłowy externalistka i szkodliwość społeczna i atak na niezbyt sprzyjawaną „elitę”. A wszystko to pod adresem światowej sławy uczonego, mądrego człowieka i świętego pisarza — wszystko to pod adresem książki „Schizofrenia”, tłumaczonej dziś na język Wschodu i Zachodu.

Metoda pani B. zdala egzamin. Nazwisko zaczęło krążyć po czasopiśmie. Nie zdala tylko egzaminu pani B. Dwójka z taktu, kultury, wrażliwości i umiejętności pisania o rzeczach trudnych.

KROK DO TYTUŁU...

„Zrobił krok do tytułu i chwycił Pietrigo za ucho. Jego ruch był tak nieprawdopodobny...” — fragment powieści z „Expressu Ilustrowanego”.

Zrobiliśmy krok do tytułu, który brzmi: „Święty igra z ogniem”. „Express” natomiast igra z polszczyzną.

NAJPOPULARNIEJSZA PARA ROKU pozdrowia CZYTELNIKÓW „MAGAZYNKU”!



SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

CASANOVA

PAMIĘTNIKI

Po powrocie do Wenecji odwiedziłem panią Orlo na jej zaproszenie. Przy pozegnaniu Nanette wręczyła mi list od siebie, zawierający bilecik od Angeli. Jeśli odważył się spędzić jeszcze raz noc z nią, nie będziez tego żałował. Kocham cię i chciałabym dowiedzieć się z twoich ust, czy nie przestałbyś mnie kochać, gdybym zgodziła się ponownie w twoich oczach? A oto co pisała Nanette: „Noc, którą z nami spędziłaś, była okrutna, przynajmniej. Wszak, jeśli kochasz Angelię, radzę ci zarzykować jeszcze jedną, Czekamy”.

Ucieszyły mnie oba te pisma, gdyż dawały sposobność zemsty na Angeli przez okazanie jej absolutnej pogardy. W następnym więc dniu światłocinny poszedłem do pani Orlo, mając w kieszeni ukryte dwie butelki cypryjskiego wina oraz wędzony osór. Ku memu zdziwieniu nie zastałem tam swojej dziewczynki. Nanette wtrącała sprytnie do rozmowy, że Angelię z którą spotkała się w kościele, zapowiedziała, iż przyjdzie dopiero na kolację. Licząc na to, nie przyjąłem zaproszenia pani Orlo, podobnie jak poprzednim razem pożegnałem się w chwili, iż siadano do stołu, i schroniłem się w umówionym miejscu.

Po trzech kwadransach nadeszły Nanette i Marton.
— A gdzie Angeli? — zapytałem.
— Coś musiało jej przeszkodzić, wszak wie, że czekasz na nią.
— Chciała mi spłatać figla i dobrze na tym wyszła, gdyż tym razem to ja bym ją wystrychnął na dudka.
— Pozwalam sobie w to wątpić.
— Niesłusznie, piękna Nanette, przekonasz się, jak miła spędzimy noc bez niej.

Nakryły do stołu, przyniosły chleba, parmezańskiego sera oraz wody i śmiejąc się oboje zasiedliśmy do biesiady. Nie były przyzwyczajone do cypryjskiego wina, poszło im więc do głowy i wzbudziło rozkoszną wesołość. Patrząc na obie siostry nie mogłem wyjść z podziwu, iż dotychczas nie poznałem się na nich.

Pierwszy nasz pocałunek ani nie był owocem miłości, ani nie nosił charakteru uwodzicielskich zakusów, a w parę dni później obie siostry zapomniały mnie, że oddały mi go tylko na dowód, iż podzielała moje braterskie uczucia. Lecz te niewinne, zdawałoby się, pocałunki wznęciły gwałtowny ogień w naszych żyłach, tak niespodziewany, że

zaprzestaliśmy ich po paru chwilach. Obie siostry, każda po swojemu, były ładniejsze od Angeli. Dziwiłem się bardzo, że tego wcześniej nie dostrzegłem. I aczkolwiek nie ulegałem próźności na tyle, aby mniemać, że pozyskałem ich miłość, zdawałem sobie sprawę, że podczas tej długiej nocy może z łatwością dojść do decydującego zbliżenia między nami. Ta myśl napeliła mnie zgrozą i przyrzekłem sobie solennie i stanowczo uszanować je, nie wątpiąc, iż zdolam dotrzymać takiego postanowienia.

Przez godzinę rozmawialiśmy o Angeli. Powiedziałem, że będąc przekonany o braku jej żywszych dla mnie uczuć postanowiłem nie widywać jej więcej. Na co rzekła naiwna Marton:

— Jestem pewna, że ciebie kocha, ale jeśli nie zamierzasz się z nią ożenić, lepiej zerwij, gdyż postanowiła nie dać ci jednego choćby całusa, dopóki się z nią nie zerzyczysz.

— Rozumiesz nad wyraz prawidłowo, mój aniołku, ale skąd możesz być pewna, że Angeli mnie kocha?

— To nie ulega wątpliwości. Kiedy Angelię śpi z nami, całuje mnie czule i mówi: „Mój luby księżyku”.

Nanette wybuchnęła śmiechem i złożyła dłoń na ustach siostry.

— A czy Nanette również wymawia we śnie czyjeś imię? — zapytałem.

— Tego nikt nie wie.

— A więc kochasz kogoś, Nanette?

— Kocham, ale to mój sekret i nikomu go nie wyjawię.

Pod wpływem tej miłej pogawki coraz trudniej mi było pogodzić się z myślą o spędzeniu bezczynnej nocy z tymi dwiema czarującymi dziewczynami, stworzonymi do miłości, i zacząłem udawać senność.

Nanette pierwsza do spostrzegła i rzekła:

— Nie krepuj się i połóż do łóżka, my zaś pójdziemy spać do drugiego pokoju, na kanapę.

— Jakżebyś się mógł zgodzić? To ja pójdę na kanapę — odrzekłem.

— Nie, nie — odparła mi — pozwól sobie wyperswadować i połóż się tutaj.

— Nie mogę spać ubranym.

— To się rozbić, odwrócimy się na chwilę.

— Nie o to chodzi, ale nigdy nie zasną wiedząc, że czuwanie dla mojej wygody.

— Połóżmy się również — rzekła Marton — ale nie rozbiegajcie się. To mnie obraża. Połóżcie się rozebrane przy mnie, a daję wam słowo, że się was nie dotknę. Zresztą będąc dwie przeciwko jednemu, czegoż możecie się obawiać?

Położyłem się do łóżka i udawałem początkowo, że śpię, wkrótce jednak sen zmorzył mnie na dobre i obudziłem się dopiero, gdy siostry położyły się przy mnie. Odczekałem spokojnie dłuższą chwilę, aż uznałem, że albo zasnę albo udaję, że śpię. Leżały tyłem do mnie. Światło było zgaszone, działem więc po omacku i skierowałem pierwsze hołdy do tej z prawej strony, nie wiedząc, czy to Nanette, czy Marton. Bez pośpiechu i oszczędzając jej wstydu doprowadziłem

ją stopniowo do takiego stanu, iż wolała się uznać za zwyciężoną i dalej udawać śpiącą. Natura jej współdziałała w idealnej ze mną harmonii i niebawem dopiąłem celu, a moje ukoronowane pełnym sukcesem wysiłki nie pozostały mi żadnych wątpliwości co do wejścia w posiadanie skarbu, który przesądził cenę — tak wysoko. Uszczęśliwiony z przeżycia pełnej rozkoszy, jakiej zaszaleł po raz pierwszy, odsunąłem się nieco od mojej bogdanki, aby drugiego z kolei ssaśladce złożyć miłosny haracz. Leżała na wznak, nieruchomo, rzekłoby pograżona we śnie głębokim. Delikatnie i z wolna, jak bym się obawiał ją obudzić, zacząłem schlebiać jej zmysłom, jak upełniłem się, że jest nowicjuską w tej samej mierze co siostra, a gdy tylko naturalny odruch dał mi znać, że gotowa jest przyjąć moją ofiarę, przystąpiłem obocho do jej złozenia. Wówczas, ulegając gwałtowności uczucia i jak by znużona biernością przybranej roli, objęła mnie ramionami w chwili ekstazy i oddawała mi namiętnie każdy pocałunek czy pieszczotę, a miłość spłóła nam dusze w jednym cudownym porwywie.

Zdawało mi się, że poznaję po tym Nanette, i wypowiedziałem głośno te myśli.

— Tak, to ja — odrzekła — i deklaruje się szczęśliwą, podobnie jak moja siostra, jeśli okażesz nam wierność i uczciwość.

— Dozgonna, oczywiście — replikowałem — a że wszystko, co tu zaszło, jest dziełem miłości, nie wspominajmy już więcej o Angeli.

Po upływie dwóch dni odwiedziłem znowu panią Orlo i Nanette wręczyła mi list oraz mały pakietek. Zawierał kawalek wosku, na którym był odcisnięty klucz od ich drzwi, list zaś zapraszał mnie na noc, ilekroć przyjdzie mi na to chęć. Wkrótce potem zrzadzenie losu uwolniło mnie od Angeli. Jej ojciec przeniósł się do Wenecji i zabrał ją z sobą. Nic więc nie stało już na przeszkodzie w korzystaniu z gościnności Nanette i Marton. Rozporządzałem dorobionym kluczem o co najmniej dwie noce w tygodniu upływały nam na miłosnych pieszczotach.

Okres wielkiego postu spędziłem częściowo na studiowaniu fizyki eksperymentalnej w klasztorze della Salute, częściowo zaś w objęciach moich dwóch anielic. Co wieczór bywałem u pana Malipiero, gdzie jak zwykle zbierało się dobre towarzystwo.

Fragmenty Humaczył: TADEUSZ EVERT

Giovanni Giacomo Casanova urodził się w Wenecji w 1725 roku i był w ciągu swego długiego żywota klerikiem, oficerem, szpiegiem, finansistą, szulerem, tłumaczem Homera, więźniem inkwizycji, gościem Kardynałów w Rzymie, bazy tureckiego w Konstantynopolu, Katarzyny II i króla Stanisława Augusta w Warszawie, a wszędzie i zawsze drogę jego znaczyły intrzygi, podboje miłosne i pojedynki. Pamiętniki tego sławnego awanturnika i libertyna stanowią pasjonującą lekturę i dają żywy obraz obyczajów XVIII wieku.